

W A N D A.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

NAPISAŁA

ZOFIA MELLEROWA.

O S O B Y :

Oliwa, były marszałek szlachty.

Elżbieta, żona.

Władysław, ich syn.

Dalia.

Alfons.

Wanda.

Woiński, doktor.

Urszula.

Służący.

Rzecz u Oliwów. — Pierwszy akt w Warszawie,
następne na wsi.

Akt pierwszy.

Bogaty salon; w głębi drzwi główne. — Z prawej dwoje drzwi, w pierwszój kulisie do Dali i, w drugiej do dalszych pokojów. Z lewej okno i lustro stojące. — Na środku jardiniera z kwiatami, w pośród których Satyr. — Kozety, stoliki i fotele. Dywan na scenie.

SCENA I.

Dalia. Urszula.

(Dalia przymierza w lustrze paltocik; Urszula stoi nieco w głębi).

DALIA *(z gniewem)*. A ja ci mówię, że źle leży. Za szeroki w ramionach, za szeroki u szyi, rękawy za wąskie, słowem, zrobiony jak najgorzej! Odniesiesz do poprawy! *(Zdejmuje paltocik i rzuca na krzesło)*.

URSZULA. Ależ, proszę pani, to napróżno; magazynierka chce sama zobaczyć na figurze, mówiąc, że inaczej nie utrafi.

DALIA. Ani myślę dogadzać jój zachciankom, wszak brała miarę, niech przerabia, póki nie będzie dobrze! Spódniczkę także skrócić należy z przodu, a podłużyć w tyle, rękawy u stanika zwęzić, poszerzyć zaś u paltota, pamiętaj! — To garniowanie bez gustu i pospolite odrzucić, zastępując inném. Zawiąż razem paltocik z suknią i odnieś napowrót.

URSZULA. Mogąż odgadnąć w magazynie, ile skrócić, ile podłużyć...

DALIA *(przerywa)*. Nie rozprawiaj tak wiele, a idź. Jutro przed południem wszystko musi być gotowe; wieczorem wyjeżdżamy. No, czegoż się ociągasz? Nie rozumiałaś?

URSZULA. Już tam nie śmiem pokazać się, tylekroć zwracałam tę robotę.

DALIA. Nieśmiałość nie w miejscu, odnosząc spełniasz rozkaz, czyli powinność — śpiesz!

URSZULA. Doprawdy...

DALIA. Coraz stajesz się zuchwalszą *(wchodzi Władysław)*, jeśli dodasz słówko jeszcze, oddalę cię natychmiast. *(Giestem nakazuje odejście. Urszula zabrawszy pakiet, odchodzi głębią)*.

SCENA II.

Dalia. Władysław.

WŁADYSŁAW. Czémże zasłużyła biedna Urszula na tak srogą groźbę?

DALIA. A, bo dziś wszyscy mi dokuczają, począwszy od marszałka, który w nadziei odzyskania snu, wziął się jechać na wieś i nas zabrać z sobą, aż do tego oto kopciuszka, narzucającego mi swoje fantazy.

WŁAD. Ja to doradziłem ojcu świeże powietrze, ale czyż wyjazd do Konstantynowa tak ci wstrętnym, Dalio?

DALIA. Pragnęłam chociaż na sześć tygodni udać się do jakich wód zagranicznych.

WŁAD. *(troskliwie)*. Czujesz się słabą?

DALIA. Bynajmniej, lecz tak wymaga zwyczaj: przytém dokończyłabym wyprawy i uniknęła nieuniknionych na wsi nudów.

WŁAD. Natura tyle posiada uroków, że...

DALIA (*przerzuwając*). Komunały, nie więcej! Skoro już raz ubiorę się, zjem śniadanie, przejdę ogród — co robić mam dzień cały z naturą, bez przyjaciół, znajomych, bez koncertów i teatru?

WŁAD. Są książki, fortepian, szkółka, gospodarstwo, wreszcie narzeczony.

DALIA. Nie sądzę, abym kiedykolwiek dozwoliła zagrzebać się na wsi. W tym roku uczyniłam wam ustępstwo; za to zimę spędzimy w Paryżu, przyszłe lato w Szwajcaryi.

WŁAD. I z kim tak podróżować myślisz, jeśli spytać wolno?

DALIA. Z mężem, rzecz naturalna, z tobą.

WŁAD. O nie! Pięć lat przeżywszy zagranicą, radbym teraz zacząć u siebie zbierać owoce tyloletniej nauki, podnieść gospodarstwo i kmięcia, pracować, zostać użytecznym nie dla siebie tylko. Z ciągłym zaś włóczęgi jakąż korzyść?

DALIA. Mówisz o korzyściach, a przyjemności?

WŁAD. Wynajdziemy je tutaj.

DALIA. Nie znam Włoch.

WŁAD. Za jaki lat dziesiątek możemy obejrzeć cuda cywilizacji i przyrody. Wschód, a zwłaszcza ta kolebka oświaty i jednocześnie cementarz półbogów, Grecya, zawsze mnie nęciły; lecz coroczne wędrówki z próżniactwa, dla przechwałek, lub szulerki, są — śmiało powiedzieć mogę — zbrodnią, tak wiele pochłaniają czasu, pieniędzy i...

DALIA. I... czegoż jeszcze?

WŁAD. I cnót rodzinnych.

DALIA. Zatem zostawisz swoją, zmuszoną będę wyrzec się własnych upodobań, gustów, przekonań...

WŁAD. Nie, droga Dalio, ale mniej hołdować wymogom czczej mody, a pokochać co prawdziwie godnym uwielbienia.

DALIA. To jest, co ty uznasz takim. Wiiesz, Władysławie, powiem ci otwarcie, żeś mi się nigdy jeszcze nie wydał tak... patryarchalnie nudnym! Żadasz więc, bym hodowała drób, chodziła do obory i chłopskie dzieci czytała uczyła?

WŁAD. Życzylbym jedynie, abyś więcej rodzinny zakątek twój kochała, mniej godzin święciła zabawom i gotowaniu, poważniej pojęła życie i jego obowiązki.

DALIA. Używać majątku, nie jest-że obowiązkiem bogacza? Powinnością zaś pieniędzy, dostarczanie przyjemności ich posiadaczowi, najlepiej przeto ten pojmuje obowiązki, kto nie tylko sam je spełnia, lecz i drugim pełnić pomaga.

WŁAD. Żartujesz ze wszystkiego, bawiąc się w sofizmata, to nie dobrze.

DALIA. Zrzedzisz na każdy temat, wpadając w morały, to gorzej.

WŁAD. Dlaczegoż bo nie chcesz zrozumieć...

DALIA. Przestań, nasze pojęcia o życiu zbyt są dziś odmienne, dozwól mi zostać przy moich do czasu przynajmniej i rozmawiajmy bez kłótni. Czemże zajmować się ma bogata panna, jeśli nie strojem, wizytami, tańcem, zabawą? Nauczona z tego punktu patrzeć na świat i życie, jest-żem winna, iż szczęścia szukam w rozrywkach?

WŁAD. Nie bezwątpienia, wina tkwi gdzieś indziej. Od ciebie wszakże zależy poprawiać błędy wychowania.

DALIA. Zgoda, lecz nie żądam metamorfozy natychmiastowej, czekaj. Cokolwiek więcej cierpliwości i wyrozumienia z twojej — nieco dobrej woli i chęci z mojej strony, a harmonia wyłoni się stopniowo, niepotrzebnie. Im mniej pośpieszna, tym będzie gruntowniejsza, wierząc.

WŁAD. Twój młody wiek, łatwo naginać się dający, utwierdza we mnie tę otuchę.

DALIA. I sprawiedliwie, ale zmieńmy przedmiot pogawędki. Powiedz raczej, co mi bardziej do twarzy (*biorąc kapelusz ze stołu*), margerytka, czy konwalia?

(*Alfons wchodzi głębiej*).

SCENA III.

Dalia. Alfons. Władysław.

WŁAD. Pan Alfons w tak ważnej sprawie dokładniej oświecić cię potrafi; racz mu powtórzyć pytanie.

ALFONS. O czém bądź mowa, łaskawi państwo, z radością ofiaruję słabe światło moje.

WŁAD. Słabego też nam trzeba, mocne spaliłoby biedne kwiatki.

ALFONS. Dotąd nierozumiem...

DALIA (*pokazując kapelusz*). Niebawem pana objaśnię.

WŁAD. I zaraz też zwiększy się twoje światło.

DALIA (*do Alfonsa*). Z wytwornego gustu znany całemu światu elegancyi, wyrzecz, uczony kapłanie mody, jaki tu ładniej kwiatek przypadnie: margerytka, lub konwalia?

WŁAD. Polny, czy leśny — to pytanie!

ALFONS (*do Dalii*). Zbyt szumną obdarzony pochwałą za skromne moje zasługi, pokorną uwagę wtrącić się ośmielę, że margerytka właściwszą dla mężatki.

WŁAD. (*ciszéj do Alfonsa*). Z po wodu podobieństwa z rumiankiem?

DALIA. Władysławie, szanuj nasze zajęcia, jak my szanujemy twoje i nie przeszkadzaj.

WŁAD. Głęboką cześć przejęty dla ważności przedmiotu, umilkam jak ryba.

ALFONS. Konwalia zaś drobniuchna, więc nie uderzająca, stosowniejszą mi wydaje się dla dziewcz. Nadto, kwiat ten mniej rażącej białości, niż margerytka...

WŁAD. Baczność, Alfonsie!

ALFONS (*koncząc*). Porównaniem podniesie płci świetność, kiedy tymczasem margerytka rywalizować gotowa (*z ukłonem*), chociaż z własną szkodą.

WŁAD. (*jakby oddechnąwszy, uspokojony*). Uf! wybrnąłeś szczęśliwie, bodaj nawet czy nie zanadto; zrobiłeś panią bielszą, niż margerytka! Wierzysz temu, Dalio?

DALIA. Czy ty zaprzeczasz?

ALFONS. Baczność, Władysławie!

WŁAD. Zaprzeczyc, któżby się ośmielił? Do twojej zbliżona twarzy, nie tylko margerytka zwiędłaby z zazdrości, sam śnieg nawet ztopiłby się z gniewu i w mętne lzy rozplynał!

DALIA. Brawo, brawo! Jakież to wyskok natury, jaki fenomen nam się zrodził! Władysław z komplementem na ustach!

WŁAD. (*wskazując Alfonsa*). Korzystając z przykładu, poleruję się...

ALFONS. Z powodzeniem.

WŁAD. Zawsze jednak z pokorą wyznaję, mądrygał nie moją specyalnością, odstępuję go bieglejszym.

DALIA. Kazuistyka za to właściwszą dla ciebie powołaniem. Zbuduj sobie na wsi mównicę i nauczaj-rzesze..., aby nie upijały się w niedzielę.

WŁAD. A powściągały zbytęczną złośliwość w poniedziałek.

DALIA (*uważona*). We wtorek, by nie posłubiały czecznych mrzonek.

WŁAD. Natomiast w środę uważniej wejrzały w siebie.

DALIA. Nie podejmowały społecznych reform we czwartek!

WŁAD. A ni w piątek topiły ducha w gałgankach!

ALFONS. Nadewszystko nie kłóciły się w sobotę! Amen. Państwo, co to znaczy?

(*Władysław odchodzi do dalszych pakejów*).

SCENA IV.

Dalia. Alfons.

DALIA. Gdybym posiadała niewyczerpane kopalnie cierpliwości, wybrałyby się z pewnością w obec tego... kwakra, utopisty. Co za szkoda, że człowiek tak dozwierz urodzony, z tak pięknym nazwiskiem i powierze uroczoność, niebezpiecznie zachorzał na... idealizm.

ALFONS. Nie moim zwyczajem jątrzyć zwasnionych, przeciwnie, radbym wszędzie miłą widział jedność, usposobienie wszakże zbyt poważne, surowe, prawie niegrzeczne pani narzeczonego, czyjżeby miodowej nie zmieniło słodyczy?

DALIA. Całe szczęście, że gospodarując zapalczywie, przyjeżdża tu nader rzadko, raz na kwartał zaledwie i to na dni parę, inaczej wypadłoby zwątpić o prawdopodobieństwie zgody w przyszłości. Wprawdzie zaraz po ślubie, postanowiłam silną rozpoczynając kurację, uleczyć Władysława z wszystkich jego sentymentalnych marzydek. Uparłszy się, czegoż nie dokaze młoda kobieta?! Tymczasem on

koniecznie usiłuje mnie przerobić, ujrzyć inną, ja zaś dozwalam mu cieszyć się nadzieją.

ALFONS. Nieba! ten sęraficzny wdziek ułożenia, obfite pokłady najczystszej soli atyckiej, roztkliwiający ulepek temperamentu, obok niedościgło hyżej bystrości intelektu, quintessencja logiki w połączeniu z gołębią naiwnością, stal ducha przy serca baniu, coś hypopotama i motylka zarazem, zdolne zmarłego Eskimosa w gorejący zamienić krater, ktoś usiłuje przerobić koniecznie!... Kiedy najwspanialsza, najwdzięczniejsza z trzech gracyi, bogini, oblókłszy ziemskiej córy szatę, zstąpiła z wyżyn Olimpu by zachwycić zdumionych śmiertelnych... ci, o profanacy! życzyliby ją widzieć inną, ponieważ oczy ich ślepe, bozkich nie potrafią znieść blasków!!

DALIA (*spokojnie*). Panie Alfonsie, do kogo wystosowałaś tę górnolotną apostrofę?

ALFONS. Przebacz pani nadmierny zapał, którym porwany, próbowałem zachwyt mój i oczarowanie ognistemi odmalować farbami. Ludzki słownik nie mieści wyrazów na określenie doskonałości pani podobnej. Język nasz, jak rozum i wola, jak życie samo, ograniczony, niestety!

DALIA. Ograniczony?... strzeż się pan dwuznaczników, ten na przykład niefortunnie ci posłużył. Lecz dość już kadzidla, za wiele dymu sprowadza migrenę straszną nieraz w skutkach. Dowiedz się raczej u Włodkoskiej, czy nie nadeszły nowe kostiumy?

ALFONS. Biegnę. (*Chce wybiedz głębiej*).

DALIA. Chwilkę. (*Alfons zatrzymał się na środku z jedną nogą w powietrzu*), możebym lepiej pojechała sama.

(*Wchodzą z pracją: Oliwa, Elżbieta, Doktor, Władysław*).

SCENA V.

Dalia, Alfons, Elżbieta, Oliwa, Doktor, Władysław.

DOKTOR (*koncząc rozmowę*). Wyczerpałem wszelkie sposoby jakie podaje nauka — i morfina już nie pomaga. Lekkie utrudzenie fizyczne, jak na przykład spacer, byłoby najzbawienniejsze, ale z przyczyny atretyzmu w nodze, środek ten niemożliwy.

OLIWA (*usiadł z lewą w fotelu*). Co począć? ani dwóch godzin snu na dobę! Już nawet gazety przestały skutkować; ciągle bezsenność nuży mnie dotkliwie.

WŁAD. Wczoraj jednak uroczą melodia duetu z Fausta, uspiła cię mój ojeze.

OLIWA. W istocie i w zeszłym tygodniu dwa razy smacznie zasnąłem przy dźwiękach muzyki, uważałaś Biniu?

ELŻBIETA. Prawda.

WŁAD. Bo też grający ma dar...

DALIA (*koncząc*). Usypiania — nie zbyt to po- chlebne dla jego talentu.

WŁAD. Posiada on dar wyjątkowy; fortepian pod jego ręką śpiewa tak rzewnie i tęskno, jak matka nad kołyską dziecięcia.

DOKTOR. Muzyka usypia pana marszałka?

OLIWA. Czyby nie spróbować tego lekarstwa, Hipokratesie?

DOKTOR. Ha — możnaby, chociaż...

OLIWA. Środek niewinny, jeśli niepomocny...

DOKTOR (*z uśmiechem*). To pewno nie zaszkodzi — rzeczywiście.

OLIWA. Zatem?

DOKTOR. Czy gra kto z państwa?

DALIA. Ja, ale nie posiadając wyjątkowych darów, po prostu gram, nie śpiewam na fortepianie.

OLIWA. Dalcia swemi paluszkami potrafiłaby zbudzić samego nawet Morfeusza.

WŁAD. Kiedy wprost przeciwny skutek potrzebny. Ja także nie czuję się dość...

DALIA (*koncząc*). Eteryznym.

ALFONS. Najlepiej byłoby dowiedzieć się o nieznanym wirtuozie i zrobić mu jeśli można propozycję...

OLIWA. Usypiania.

ELŻBIETA. Głos pochodzi z okien tej oficynki, (*wskazując oknem*).

DOKTOR (*wyjrzawszy*). Od niej!

WŁAD. Konsyliarz wiesz, kto tam mieszka?

DOKTOR. Nauczycielka moich córek.

OLIWA. Czyby się nie podjęła grywać mi wieczorami?

DOKTÓR. Mogę zapytać.

ELŻBIETA (*do męża*). Wszakże wyjeżdżamy."

OLIWA. Zabierzemy ją z sobą, rzecz najprostsza.

WŁAD. Tak, jeśli przystanie.

DALIA. I czemużby nie — za zapłatę.

ELŻBIETA (*do doktora*). Cóż to za osoba?

ALFONS. Czy młoda?

DALIA. Piękna?

ELŻBIETA. Pojmujesz doktorze, iż mając w domu pannę, pilnie przestrzegać winnam praw przyzwoitości.

DOKTÓR. Bądź pani marszałkowa spokojna. Jest-to kobieta (*zwraca się do Alfonsa*) lat około dwudziestu czterech, (*do Dalii*) jak skromna rezeda zniknie niedostrzeżona przy świetnej Dalii, (*do Elżbiety*) co do jęj obaw, dodam, że sierota od dwunastego roku życia, wziętą była do bardzo zamożnego domu, dla emulacyi pańskiego dziecka, któremu się uczyć nie chciało. Licząc lat siedemnaście, z pałacu gdzie już przestała być użyteczną, wróciła do rodzinnego zakątka, błogosławiąc swoich, jak nazywała drugich rodziców, którzy wzbogacili jęj duszę. Odtąd utrzymuje z lekcyj nie tylko siebie i dwunastoletniego brata, którego posyła do szkół, ale i starą ciotkę, z wdzięczności, za wychowanie tego wyrostka, osieroconego przez matkę na drugi dzień po urodzeniu.

ELŻBIETA. Czyżż jest córką?

DOKTÓR. Ubogiego stolarza, który umarł w nędzy.

ELŻBIETA (*zdziwiona*). Stolarza!

DALIA (*wzgardliwie*). Stolarza!

ALFONS. Stolarza!

OLIWA. I nazywa się?

DOKTÓR. Wanda Mrokowiczówna.

OLIWA. Zatem tę pannę Wandę, zabierzemy z sobą na trzy miesiące.

DOKTÓR. To jeszcze nie pewne, chociaż stan jęj zdrowia, bardzo wymagałby odpoczynku i świeżego powietrza, pracuje bowiem nad siły. Wróciwszy z lekcyj, udziela korepetycyj bratu, szyje, gra i czyta w późną noc. Moja cała biblioteka, notabene głównie z poważnych dzieł złożona, przeszła przez jęj rączki. „To jedyna rozkosz“ — powtarza, odnosząc książkę. Moje córki ubiegają się o jęj towarzystwo, ja także ją kocham jak własne dziecko i lubo pragnąłbym niekiedy ulżyć jęj niedoli, lecz zbyt dumna odrzuca życzliwą pomoc.

DALIA. Dumna? Mrokowiczówna!

WŁAD. Dalio przestań. Nie każdy zrozumieć w stanie dumę ubogiego.

DALIA. Niewątpliwie. Stolarczanka dumna... z czego, ciekawam?

OLIWA. Chcięj Eskulapie przedstawić jęj nasze życzenia, dodając, że nagrodzimy hojnie.

DOKTÓR. Śpieszę, w tęj porze zwykle jest u mnie na lekcyi.

ELŻBIETA. Ale nie zapomnij, że jutro wyjeżdżamy.

DOKTÓR. Przysłę ją natychmiast pani marszałkowo.

OLIWA. Do widzenia przeto. (*Doktor odchodzi głębia*).

SCENA VI.

Ciż, prócz Doktora.

ALFONS. A to istna bohaterka, ta panna Wanda!

DALIA. Zrodzona wśród stosu desek, wiórów i kleju!

WŁAD. Panna Dalia, herbowa dziedziczka, ja, syn marszałka szlachty i hrabianki Molińskięj z domu, pewno nie zdobylibyśmy własnymi siłami dla siebie stanowiska, chleba dla drugich.

DALIA. Niezmierniem tęż ciekawa poznać tę heroinę stanowiska i chleba. Zanim wszakże nadejdzie, (*do Alfonsa*) poradzisz mi pan w jaki sposób przybrać koronkową suknię, którą mi wczoraj przywieziono z Brukselli — pójdż proszę. (*Odchodzi na lewo, za nią Alfons*).

(D. c. n.)

grę wyrazów i w naszym polskim języku znajdziemy i u nas narzeczona powinna być:

pobożna,
piękna,
prawa t. j. nieskażona, zacna,
pocziwa,
pracowita,
a nadewszystko pieniądze, oj pieniądze!!!
alpha omega.

Edward Lubowski.

WANDA.

KOMEDIA W TRZECH AKTACH.

NAPISZAŁA

ZOFIA MELLEROWA.

(Dalszy ciąg. — Patrz Nr. 236.)

SCENA VII.

Elżbieta. Oliwa. Władysław.

ELŻBIETA. Zamiast pilnować bióra, Alfons powierzył się orędownictwu stryja senatora, został nieodstępnym Dalii satelitą. Sądzę, że go przynajmniej nie zaprosi do Konstantynowa?

OLIWA. Mylisz się, Biniu, to jęj magazynierka, Tygodnik mój, Bluszcz — zdołał obejść się bez nich parę miesięcy?

ELŻBIETA. Pragnęłabym dać jęj do zrozumienia, że taka poufalskość z obcym mężczyzną, mając już narzeczonego...

WŁADYŚLAW. Ja nudzę ją.

ELŻBIETA. To źle, powinieś zajmować.

OLIWA. On nie umie rozprawiać o strojach.

ELŻBIETA. Doprawdy, lękam się...

OLIWA. Czego?

ELŻBIETA. Wszystkiego — choćby i Alfonsa.

OLIWA. Dzieciństwo. Kobiety chętnie posługują się takimi lalkami, lecz ich nie kochają nigdy. Zresztą nie można jęj wzbronić przyjmować kogo zechce. Jestem wprawdzie opiekunem, ale ona tu panią wszechwładną. Gdyby nie jęj procent, żylibyśmy jak włodarze, ponieważ całym naszym majątkiem jedyna pozostaje wioseczka, przynosząca zaledwie dwa tysiące rubli rocznego dochodu; dzięki mozolnej twojej pracy, bo niegdyś i połowy tego nie czyniła. Ojcowiznę dawno diabli porwali z kretesem. Oj, głupio się żyło, głupio! Zawszem był słaby jak dziecko i nie umiałem oprzeć się pokusom; to też z całej fortuny zostały mi tylko: atretyzm w nogach, suchoty w szkatule i żółtaczka w mózgu!

ELŻBIETA. Niestety, a ja zamiast cię wstrzymywać...

OLIWA. Pomagałaś Biniu, duszko, obiema rękami. (Z wesołym uśmiechem.) Za to pamiętasz ostatni rok w Wiedniu, kiedyśmy to...

WŁAD. (przerzucił). Nie naruszajmy przeszłości, garść popiołu na nią. Lecz dla czegoż dziś znowu to życie wykwinne, apartament, powozy, liberya za cudze pieniądze? Prosiłem już nieraz, przenieście się do Konstantynowa. (Oliwa się krzywi).

ELŻBIETA. Za cudze? z kąd za cudze? Umierająca matka Dalii, przeznaczywszy ją tobie, powierzyła naszej opiece, z warunkiem utrzymywania domu na takiej stopie, do jakiej przywykła jęj ukochana jedynaczka, mówiąc: że skoro dobiegłszy lat dwudziestu jeden, zostanie twoją żoną, majątek za wspólny uważać należy.

OLIWA. Od trzechletniego też jęj u nas pobytu, rzetelnie wydajemy cały procencik od półtora milionka.

ELŻBIETA. Dalia ani chce słyszeć o oszczędnościach. Ot i teraz o mało się nie rozplakała, że ojciec z twojej namowy uparł się pojechać na wieś.

WŁAD. Nie uwierzy mama, ile mi przykro, że dotąd przyjmowaliście od niej...

ELŻBIETA. My nie bierzemy dla nas wyłączenie; korzystamy wprawdzie z wygod i przyjemności, ale każdy na naszym miejscu zrobiłby to samo. Zważywszy nadto, że masz ją zaślubić za siedem miesięcy, nie widzę, w czém grzeszymy tak dalece? Zresztą, na nasze utrzymanie dokładamy

wszystek niemal dochód z Konstantynowa, ponieważ ty bardzo mało wydajesz na siebie. Nie żyjemy przeto na łasce.

WŁAD. Ten jęj milionowy posąg młyńskim kamieniem cięży mi na sumieniu.

OLIWA. Stanie się piórkiem, gdy ci wpadnie w ręce. Ileż bo za niego kupić można rozkoszy?! (Z westchnieniem). Aj, chłopcze, rodziłeś się w czępcu!

ELŻBIETA. Nie jeden ci pozazdrości tego związku. Dziewczyzna, chociaż zwyczajna szlachcianeczka, posiada poczucia arystokratyczne.

OLIWA. Nazwisko Oliwów nęci ją nie mało. Pamiętam, gdy przed dziewięciu laty ostatni jęj ojcu sprzedawałem folwark, obecna ugodzie dwunastoletnia wówczas Dalia, rzekła proroczo: „Może z czasem i herby pana marszałka do mnie przejdą. Ja codzień modłę się o męża z hrabiowską koroną”.

ELŻBIETA. Wielki los na małżeńskie wygrasz loteryi, biorąc młodą, dowcipną i zdobną posagiem żonę.

OLIWA. Na mnie zaś gminne sprawdza się przysłowie, gdyż jak pan i kot prawdziw... (poprawia się) nie, jak kot i pan prawdziwy zawsze upadam na łapy. Przepuściwszy bowiem całe dziedzictwo, obszerne naddziadów posiadłości, nietknięte znowu przekazałem moim wnukom!

ELŻBIETA. Dawne straty wynagrodzi wspaniała Dalii ręka. Kochaj ją, kochaj szczerze, Władysławie.

OLIWA. Kochaj, ona warta najgorętszych serca płomieni; za półtora miliona tyle możesz nakupić drzewa, że duszę rozpalisz do czerwoności.

ELŻBIETA. Pragnę by te siedem miesięcy dzielących was od ślubu pomknęły lotem błyskawicy.

OLIWA. By jak owe siedem chudych krów w śnie Faraonowym, nie pożarły plennych naszych nadziei.

ELŻBIETA. O, jabym tego nie przeżyła!

OLIWA. Władysławie, bądź Józefem, ochroń nas przed głodem.

WŁAD. Moi rodzice, robię co w mojej mocy, by...

OLIWA (koniecznie). Napelnić nasze szpichrze; dobrze, synku, dobrze.

ELŻBIETA. W tobie ostatnia otucha, nie w naszym wieku odwykać od dobrego. Dalia cię kocha, lecz bądź dla niej wyrozumiały, teraz przynajmniej. Po weselu łatwiej porozumieć się zdołacie i wzajemne zrobicie ustępstwa.

WŁAD. Znaleźć w żonie odzwierciedlenie własnych myśli i przekonań, nie jest-że to skarb posiadzić bezcenny! Mniemam, że skłonności Dalii nie są jeszcze tak zakorzenione, by się wypleć nie dały. Od niej samęj otrzymałem przyrzeczenie odmiany, lecz mogęż jęj wierzyć?

ELŻBIETA. Kochająca kobieta z rozkoszą wszelkie święci ofiary.

OLIWA (koniecznie). Subiektowi swojego serca.

ELŻBIETA. Któs nadchodzi. (Wanda wchodzi głośno).

OLIWA. Morfeusz zapewne.

SCENA VIII.

Elżbieta. Wanda. Oliwa. Władysław.

WANDA. Doktor Woński...

OLIWA. Spocznij pani. (Władysław przysuwa krzesło).

WANDA. Przysłał mię tu...

ELŻBIETA. Przystajesz więc pani?

WANDA. Z ochotą. Wiesz przenoszę nad wszystko.

ELŻBIETA. Jakiegoż żądasz nagrodzenia za kwartalny pobyt?

WANDA. Zarabiam do pięćdziesięciu rubli miesięcznie, lecz ponieważ życie...

WŁAD. O, ono najmnień obciąży budżet domowy.

ELŻBIETA. Zgoda na wymienioną sumę.

OLIWA. A ja przyrzekam usypiać jak najprędzej, by czas przebyty w Konstantynowie, stał się dla pani odpoczynkiem, nie zaś nową i uciążliwą pracą.

WANDA. Poznaję tu doktora.

ELŻBIETA. W istocie, pracujesz pani nad siły.

WANDA. Bynajmnień; sześć godzin lekcyj dziennie.

OLIWA. Wieczorem korepetycyę bratu.

WANDA. Jego postęp opłaca ten mały trud socjologicznie. To dziecko całą moją pociechę, przy nim czuję, że i ja komuś potrzebna na świecie.

ELŻBIETA. Utrzymujesz pani także sędziwą ciotkę.

WANDA. Ona zajmuje się domem, prowadzi gospodarstwo, zawsze chłopcu przyrządzi jakiś przysmaczek, sama zaś wymaga tak mało; jedną sukienkę do roku, trochę bielizny, ot i wszystko. A za to jak troskliwa i przychylna; wychowała mego brata, cieszka, myśmy jęj wiele winni.

WŁAD. Podziwiam zrzeczność, z jaką pani wymiata lada pochwalną wzmiankę.

WANDA. Bo dotąd nie nie uczyniłam, coby na nią zasługiwało. Że na chleb pracować muszę, cóż tu nadzwyczajnego; wszyscy niezamożni postępują podobnie. (Do Elżbiety). Czy odjazd jutro niezmiennie, łaskawa pani?

ELŻBIETA. Natychmiast po obiedzie.

WANDA. To jest?

ELŻBIETA. O piątą. (Wanda wstawszy, chce pożegnać się. Oliwa ją zatrzymuje i zmusza usiąść napowrót).

OLIWA. Chwilkę — przypatrz-że się pani uważniej przecież tym, dla których porzucasz swoich penatów. Ja, patriarcha tej małej gromadki, (wskazawszy żonę i syna) jestem właśnie owym niesfornym dzieckiem, mającym noc całą, którego kołysać muzyką twojem zadaniem. (Przedstawiając). Moja żona i syn jednak, którzy bardzo cię pokochają, gdy im tego starego zrzęde, choć na parę godzin, usnąć potrafią.

WŁAD. Jeżeli jakich nut potrzeba, chcielibyśmy wymienić ulubionych ci kompozytorów, a wszystkich zabierzemy z sobą.

WANDA. Możeby pan marszałek raczył gust swój objawić w tej mierze?

OLIWA. Ufam waszemu.

WŁAD. (podając papier i ołówek). Proszę wynotować nazwiska.

WANDA (pisząc). Chopin, Beethoven, Schumann, Weber... (Dalia i Alfons wracają. Na grzeczny ukłon Wandy, Dalia lekko i zimno skinęła głową).

SCENA IX.

Dalia. Alfons. Elżbieta. Wanda. Oliwa. Władysław.

OLIWA (do Wandy). Teraz przyznaj się nam pani w tajemnicy, czy nie zostawiasz tu we łzach jakiego wielbiciela, a może nawet narzeczonego?

WANDA (z uśmiechem). Wielbiciela, narzeczonego? ja? to trochę trudno.

ELŻBIETA. Czemu?

WANDA. Nie posiadam żadnego z przymiotów, które zazwyczaj rodzą miłość w piersi mężczyzny. Nie jestem ani piękna, ani zalotna, ani bogata.

WŁAD. Zatem pani utrzymuje, że jedynie strona plastyczna podoba nam się w kobiecie?

WANDA (j. w.). Nieinaczej, dowodem cały system edukacyjny czysto powierzchowny i ten pewnik, że kobiety nad wszystko starają się o podniesienie swojej urody; gdyby wiedziały, że zaletami ducha zajęte mężczyźni zdołają, rozwijałyby je z zapalem. W jakiż towar kupiec zaopatruje się najchętniej?

ALFONS. W ten, na który ma najwięcej kupujących.

OLIWA. Oczywiście.

WŁAD. Lecz system wychowawczy niewiast ważnym nader uległ zmianom w najoświecieńszych krajach Europy i Nowego świata. Wszystkie niemal gałęzie nauk, umiejętności i pracy dostępne dla nich uczyniono. Pewnik zaś o podbijaniu wdzięku — aforyzmem. Kobieta tylko piękna, sprzykrzy się w miesiąc po ślubie.

WANDA. Ale po ślubie.

WŁAD. To nie dość; czyliż waszem dążeniem formuła kościelna jedynie?... A co dalej?

OLIWA. Fi! to już rzecz męża.

ELŻBIETA. Niech on sobie łamie głowę.

WŁAD. Matki dbały o szczęście dzieci, tak myśleć nie powinny.

ELŻBIETA. Dla czego nie?... Posiadając prawo wyboru, wybierać umiejcie.

OLIWA. Wyjdzie na to, że sami będziemy winni wszystkiemu złemu.

WŁAD. A rozczarowanie, przesyć i nuda doznane po kilku miesięcznym pożyciu, sprawiedliwą karą.

OLIWA (kończąc). Za pogańskie form uwielbienie. Czy tak p. Wando?

WANDA (wstaje, z uśmiechem). Podobno, panie marszałku.

ELŻBIETA. Zatem jutro przed piątą.

WANDA. Będę akuratką. (Kłania się i odchodzi głębia, Władysław odprowadza ją do drzwi, następnie przystępuje do okna i spogląda przez nie zadumany).

SCENA X.

Ciż, prócz Wandy.

OLIWA. Ta dziewczyna chwyciła mnie za serce od razu. (Wymuje z szufladki szachy i ustawia do gry).

ELŻBIETA. Dziwnie swobodna i naturalna.

DALIA. Jakimżeby sposobem nadnaturalną być miała?

ALFONS. Doktor rozповідаjąc takie o niej cuda, podał wyobraźni gotowy temat...

DALIA (kończąc). Do waryacyi.

OLIWA (zajęty szachami). Władysławie! (Władysław nie słyszy).

ALFONS (n. s.). Jak zadumany!

OLIWA (głośnie). Władziu!

DALIA (do Oliwy). Poetyczny duch mojego przysłego, żegluj teraz w nadgwiezdzistych szlakach!

OLIWA (oglądając się na syna). Władysławie!... A cóż tak utonąłeś w oknie, nie podobna cię dowołać, dobudzić!

WŁAD. (jakby ockniony). Czego życzysz, mój ojcze?

OLIWA. Zagraj ze mną partyjkę, jeśli łaska.

WŁAD. Z przyjemnością. (Siada do gry).

ALFONS (do Dalii). Jakież pani zdanie o heroinie?

DALIA. Na kobietę... za brzydka, na nauczycielkę... za śmiała, na bohaterkę romansu... za pospolitą. (Rozmawia dalej z Alfonsem i Elżbietą. Władysław rzucił gniewne spojrzenie na Dalia, która tego nie uważa i zgniótł w rękach szachową figurkę).

OLIWA. Co robisz!... Zgniótłeś królowę!

WŁAD. (spozstrzegłszy się). A, niechący!

OLIWA (znieczepiony). I któż w ten sposób obchodzi się z damami?! (Odbiera figurkę, którą próbuje zreparować).

WŁAD. Dla czego są tak złośliwe?

OLIWA. Kruche, chciałeś powiedzieć.

WŁAD. Ach, jak ci się podoba, mój ojcze, to mi wszystko jedno. Pozwól, kupię inną. (Wstaje).

OLIWA. Cóż pilnego, skończmy partyę i z tą kaleką.

WŁAD. Niepodobna; mam jeszcze załatwić dość interesów przed wyjazdem; przebaczyć ojcze... (Chce odejść).

DALIA (usłyszawszy ostatnie wyrazy). Poczekaj chwilę, Władysławie, wyjdziemy razem, bo i my nie mało jeszcze mamy sprawunków.

ELŻBIETA. Dodasz nam gustu.

WŁAD. O, pod tym względem wyobrażenia nasze nie prędko się podobno zjednoczą. Dalii pogląd wprost mojemu przeciwny. Pozwólcie mi panie oddalić się, zbyt mało bowiem pozostaje mi czasu do jutra.

DALIA (kończąc). Byś go miał tracić z nami. W takim przypadku nie weźmiesz mi za złe, jeśli poproszę pana Alfonsa o towarzyszenie nam...

WŁAD. Owszem, będę mu nawet bardzo wdzięczny. (Dalia rozdziera chusteczkę ze złości, Oliwa uważając to, uśmiecha się znacząco). Do widzenia. (Wziewszy kapelusz odchodzi głębia).

SCENA XI.

Alfons. Dalia. Elżbieta. Oliwa.

DALIA. Jakże Władysław dziś rozdrażniony!

ELŻBIETA. Przebac mu dziecię, zwykle narzeczonych niepokoję. Obrączka dopiero zapewniając posiadanie ukochanego przedmiotu, czyni nas spokojniejszymi.

DALIA. Oburza go moja wesołość, w wiosnie lat radby mine widzieć... matroną.

ELŻBIETA. Obustronne uprzedzenia nadają waż-

ność nie nie znaczącej sprzeczce. Kochankowie zwykli zacięte staczać walki, jedynie dla przyjemności zawierania zgody, to wiadomo. I waszych dąsów nie inna przyczyna.

DALIA. Wiem tylko, że nie łatwo zmieniać przekonania.

ELŻBIETA. Rzadko kto wszakże wierny im pozostał do grobu.

OLIWA. Czas, to nie lada szarlatan z kubkami.

DALIA. Władysław gwałtem usiłuje narzucić mi swoje zdanie.

ELŻBIETA (z uśmiechem, całując ją w głowę). Wyłajęż go za to zuchwalstwo nie żartem. Tymczasem pójdźmy włożyć kapelusze. (Odchodzą).

SCENA XII.

Oliwa. Alfons.

OLIWA. Kto kocha, ten się klóci, mówi przysłowie, tandem tedy, te dzieci kochają się zapamiętane.

ALFONS. Wnosząc z bezustannej wojny, rzecz dowiedziona.

OLIWA. Dalia jest nawet zazdrosną, spostrzegłem.

ALFONS. Podrażniona miłość własna okazuje często podobne zazdrości objawy.

OLIWA. Tak pan sądzi; ha, być może, któż bo z nas wolen od jej podszeptów! Wszelako pan zdajesz się lubować w towarzystwie mojej pupilki.

ALFONS. Znamy się od dzieciństwa, marszałku. Panna Dalia uważa mnie jak brata.

OLIWA. Kiedy pan wolałbyś?...

ALFONS (zmięszany). Co! jak?

OLIWA. Być nim w rzeczywistości.

ALFONS. Bez wątpienia.

OLIWA. Nie potrzebowałbyś wtedy smarować tyle bibuły w biórze, ani troszczyć się o łaskę stryja senatora.

ALFONS (pragnąc przerwać niemłą mu rozmowę, ogląda się na drzwi, które wyszły kobiety). Toaleta coś trwa długo...

OLIWA. Poszły włożyć kapelusze, poczekać wypadnie z godzinę. Pan będziesz drużbą mojego syna, czy Dalii?

ALFONS. Za siedem miesięcy! Cyfra kabalistyczna... zanim się wypełni, mogę umrzeć siedem razy!

OLIWA. O, na cóż aż tyle i raz wystarczy. Narzeczeni zapewne z równą niecierpliwością...

ALFONS (przerzywa). Nie lepiejżeby skończyć rozpoczętą partyjkę? Zastąpię miejsce Władysława, jeśli marszałek pozwoli.

OLIWA (uradowany). Owszem, owszem kochany panie Alfonsie, lecz tylko przy szachach, zastrzegam. Siadaj, proszę, wprost mnie. Niezmiernie rad, ilekroć niebo zesze mi przeciwnika. (Podając złamaną figurkę). Ta nieszczęśliwa królowa stała w tym miejscu, konik już skoknął dwa razy, wieże zaś nieruchomie zajmują swoje stanowiska, jak na tak ciężkie przystało figury. (Alfons usiadł przy szachach i głową daje znaki potwierdzające, że rozumie objaśnienia). No, a teraz uwaga, zaczynamy. (Podniesienie ręki do pionu; zasłona spada).

Akt drugi.

Na wsi.

Skromny salonik; w głębi wejście główne i okno na ogród. Z prawej drzwi do Wandy; z lewej dwoje drzwi: do Dalii i do innych pokoi.

SCENA I.

Dalia. Wanda.

(Dalia niedbale rozciągnięta na kozetce, czyta. Wanda przy otwartym oknie szyje; zegar bije czwartą).

DALIA (rzuca książkę). Co! dopiero czwarta! (Przeciąga ręce i ziewa). Przepowiednia moja ziściła się co do litery. Sybilla, nie Dalia, powinno mi być na imię. Przed pięcioma tygodniami wyjeżdżając z Warszawy, wróżyłam, że śmiertelnie nudzić się

będę na wsi — i nudzę się też na wsi śmiertelnie. (Ziewa). Bo i książka zabawna!... z biblioteki Władysława, książka godna właściciela, demokratycznie moralna, tendencyjnie usypiająca — aaaa. (Ziewa). Czy panna Wanda nie nudzi się tutaj?

WANDA. Ani tutaj, ani nigdzie; nuda nie znaną mi wcale.

DALIA. Jakżeś pani szczęśliwa!

WANDA. Zajęta.

DALIA. I to błogość. Mojego umysłu igła zająć nie zdolna.

WANDA. Ani czytanie, jak uważam.

DALIA. O, tylko z biblioteki Władysława.

WANDA. Jednakże księgozbiór to wyborowy. Od Reja aż do współczesnych, wszyscy znakomitsi nasi autorowie; arcydzieła zagranicznej literatury w komplecie. Lekkiej treści utwory pominięto jedynie.

DALIA. I to źle, bo różne są gusta. Ja np. nie tu nie znajduję dla siebie; a przecież o mnie myśleć wypadało. (Ziewa). Lecz mniejsza. Jakże się pani podobają tutejsze sąsiedztwa?... Interesujące nad wyraz i zabawne! Mężczyźni skończywszy rozprawić o burakach, zaczynają traktat o jęczmieniu, przeplatając opowiadanie fragmentami z ostatniego wełnianego jarmarku, tej ery gospodarczego żywota; a na lamentowawszy się do syta na deszcz i posuchę, milkną ostatecznie, zasiadłszy do bezika. Pannie zaś w zacofanych o lat piętnaście toaletach, nachwaliwszy się dowcipu swoich jasnowłosych wrzaskliwych aniołków, nasmażywszy konfitur i galaret, rzucają się namiętnie w wir niewinnych sąsiedzkich ploteczek. Następnie wszyscy razem jedzą kolację i rozjeżdżają się spać, co jeszcze najlepsze ze wszystkiego. Na domiar niedoli Władysław zupełnie zaniemował i zamiast bawić narzeczoną, błądzi samotny dnie całe, zaprzepaszczony w czarnym jakimś liryzmie! Co począć?... co począć!... Oszaleję!

WANDA (wstaje). Możeby przejść się cokolwiek, jeśli pani życzy?... Zaniesiemy żniwiarzom podwieczorek.

DALIA. O, nie... nie dla mnie ta sielanka. Pójdźmy lepiej do parku, odwiedzić papugi.

(Dzwoni. Wanda składa robotę; Urszula wchodzi).

SCENA II.

Dalia. Wanda. Urszula.

DALIA. Zaniesiesz za nami parę kawalców cukru dla papug.

WANDA. Ma wiele zajęcia; ja chętnie podejmę się tego ciężaru.

URSZULA (do Wandy). Dziękuję panienczce; cały dzień stoję przy żelazku; oto cukierniczka. (Do Dalii). Wszystka bielizna dziś jeszcze ma być ułożona w kufry. Na przyszły tydzień przygotowania do zaręczyn; chwili nie mam czasu. (Wanda zawiąza w papier parę kawalców cukru).

DALIA. Nie sama pracujesz, jest was pięcioro. Zresztą zaręczyny ciche, mało przysporzą roboty.

URSZULA. Część wyprawy musimy przewieźć do dóbr pani, drugą do Warszawy...

DALIA (przerzywa). No dobrze, dobrze. Tymczasem wróć do zatrudnień. (Urszula oddala się). Niecierpliwi mnie ję gadulstwo.

WANDA. Serce ma dobre.

DALIA. Pójdźmy już. (Kieruje się do drzwi, słychać trzask z bicza). Ktoś jedzie! (Wygląda oknem). Goście z Warszawy! Alfons z doktorem!

WANDA (ucieszona). Z panem Wołoskim! (Biegna na spotkanie, Doktor z Alfonsem wchodzi).

SCENA III.

Dalia. Alfons. Doktor. Wanda.

DALIA. Witajcie, witajcie kochani panowie! Cóż tam słyhać na świecie? Fantowa loterya, wyścigi, Bilse? Mówcie, opowiadajcie, bo my tu umieramy z nudów, tęsknoty i zacofania!

DOKTÓR. A cóż, Warszawa wciąż jednaka; w lecie kurz, gorąco, duszno, woda sodowa, wapno. W Saskim ogrodzie postrojone panie szukające — przyjaciela, panny — męża, wymuskani kawalerowie wietrzący posagi i t. d., i t. d. Zawsze ta sama historia da capo al fine.

ALFONS. Całe nasze towarzystwo rozjechało się do wód rozmaitych.

DOKTÓR. Jedni aby oczyścić krew, drudzy żółć, inni żołądki, a wszyscy kieszenie. (*Zwraca się do Wandy*).

ALFONS. Przytém bawią się wyśmienicie, jak mi donoszą z niektórych kąpiel.

DALIA. Ja tylko jestem *solitaire*.

DOKTÓR (*dostyszawszy*). Tam do licha, o jakim soliterze mowa?

ALFONS. O najkosztowniejszym w nader skromnej oprawie.

DOKTÓR. To co innego. (*Do Wandy*). Jakże kochana moja Wandzia, zdrowa? kontenta? wesół? (*Rozmawia z Wandą*).

ALFONS. Kiedyż najpromienniejsza z gwiazd zabłyśnie znów na horyzoncie?

DALIA. Co znaczyć ma w zwykłej śmiertelników formie: jak prędko wrócę do miasta, czy tak?

ALFONS. I blaskiem swoim rozraduje zbyt długo ociemniałych?

DALIA. Na krótki czas wszakże, zaraz bowiem po ślubie, jedziemy z mężem do moich dóbr na cały miesiąc.

ALFONS (*z westchnieniem*). Miodowy!... Zatem za pół roku zaledwie słońce rozproszy czarne chmury. Co mówię, rozproszy — ono się w nich skryje na wieki! Dalia żoną Dalia utraconą!

DALIA. Nie dla męża przecież.

ALFONS. Dla nas, dla mnie, nieskończonego jój wielbiciela!

DALIA (*z uśmiechem*). Nieskończonego?

ALFONS (*poprawiając się*). Po zagrobnego raczej. (*Rozmawiają cicho*).

DOKTÓR. Ale, mam tu i pismo od moich córek. (*Szuka po kieszeniach*).

WANDA (*z radością*). Pamiętały o mnie! (*Bierze list z rąk doktora, na to wchodzi z lewej: Elżbieta, Oliwa i Władysław, który to spostrzega; Wanda czyta na uboczu*).

dostrzeżonych częściowo przez chłopów, przez wyśłańców, przez zachodzących przypadkowo. Nigdy od dawna, tak późno nie położyli się spać poczciwi mieszkańcy, bo każdy czuł się wzruszonym, potrzebował wygadać i nikomu kłaść się nie chciało. Opowiadanie zbudowane na rzeczywistym fakcie, przybrało wszakże fantastyczne kształty.

Każdy przyozdabiał je na swój sposób. Z końca w koniec małej miejsciny, oprócz głuchych i niemowląt, dowiedzieli się wszyscy bez wyjątku, iż sierota, wychowaniec doktora, wykradł hrabiankę i z nią się ożenił.

Subiekt aptekarski, który wypadkiem znajdował się u Gorconiego traktując z nim o nabycie cytryn, schwycił relacją jeden z najpierwszych i nie starzowawszy nawet owocu, pobiegł nazad do apteki. Dawne stosunki łączyły go z panną Naramską, garderobianą panny Idalii, jej więc należały się pierwociny zdumiewającego wypadku. Panna Naramska pochwyciwszy ledwie tresę, poleciała do swjej pani.

Narieczona doktora Waltera, wedle zwyczaju leżała na szesłagu i paliła cygarete, gdy z rękami zalamanymi wpadła jak piorun Warszawianka.

— Wię pani co się stało? niepojęta rzecz! jak Boga kocham, że nie do uwierzenia, słowo honoru, jak mi Pan Bóg miły, ale prawda, na swoje oczy widział pan Teodor jak wyjeżdżał.

— Któż? co? zwaryowałaś? gniewnie przerwała pani.

— Jakto? kiedy już w całym miasteczku wszyscy wiedzą, mówię pani.

— Ale ja nie wiem, o co chodzi.

— Jakto? kiedy mówię...

— Aleś mi nie powiedziała.

— Walek Luzziński wykradł starszą hrabiankę z Turowa, ożenił się i uciekli do Warszawy. Trzy razy do nich ognia dali i nie trafili, gonili, pędzili, ale ksiądz wikary kościół zamknął i nie otworzył aż po ślubie.

Idalia porwała się z szesłaga.

— Kto? ten podrzutek!

— A no! on!

Jakkolwiek poważna i szanująca się panna Idalia, doznała przecież tego samego uczucia co wszyscy najprościejsi śmiertelnicy, zaledwie usłyszawszy nowinę, potrzebowała ją już mesie innym, piekła ją, pędziła, nie dawała po koju. Pędem poleciała z nią do brata, który paląc cygaro, myślał pewnie o swych dobrach, narieczonj i gotowj córce, którą miał wziąć po niej razem z posagiem.

— Wiesz Roger, otóż to wstyd dla ciebie i kto... kto!

— Co takiego?

— Luzziński wykradł hrabiankę Izę, ożenił się z nią i uciekł.

Roger ruszył ramionami z pogardą.

— *Allons donc!*

— Jest najprawdziwsza prawda! całe miasto się trzęsie.

— Ten blazen Luzziński?

— Tak! bo był śmiały, a ty?

— A ja? spytał z uśmiechem tryumfującym i ironicznym razem Roger, no — a ja? co?

— Ty ze swą delikatnością, ostrożnością, wahaniami, zostaniesz starym kawalerem i ożenisz się potem z jaką ochmistrzynią.

Roger się rozśmiał.

— Czy jesteś tego pewna? zapytał.

— O! zaręczam.

— Zaczekajże trochę, a potem, powiesz na mnie co zechcesz.

Idalia nadto znała brata, by pod tą minką tajemniczą nie wyczytać jakiejś ukrytej zagadki.

— Bądź spokojną o mnie — zawołał Roger, nie tak źle prowadzę moje interesa.

Nie przyznał się wszakże do niczego.

(D. c. n.)

W A N D A.

KOMEDIA W TRZECH AKTACH.

NAPISAŁA

ZOFIA HELLEROWA.

(Dalszy ciąg. — Patrz Nr. 237.)

SCENA IV.

Elżbieta. Oliwa. Doktor. Wanda. Władysław. Dalia. Alfons.

OLIWA. Jak się masz kochany Eskulapie? przebieżesz przyjechał!

DOKTOR. Stawiam się na wezwanie marszałka, noga źle podobno?

OLIWA. Nie wspominaj tej jędzy, coraz dokuczliwsza, niech ja... do niej cię zaprosilem.

DOKTOR. A sen?

OLIWA. Ba, toż sam Morfeusz mnie kołysze!

DOKTOR. List pana marszałka ucieszył mnie niewymownie. (*Obyłwa spojrzeli na Wandę*).

WANDA. Jaki list?

ELŻBIETA. Wzywając doktora, mąż dziękował jednocześnie za przysłanie bożka snu.

OLIWA. Nie jest-że za co?

WŁAD. Ojciec odmłodził.

OLIWA (*wskazując nogę*). Gdyby nie ta sekutnica, wyskoczyłbym mazura na twojem weselu.

ELŻBIETA (*do doktora*). Czy razem z Alfonsem przybyłeś doktorze?

DOKTOR. Spotkałem go na poczie w Warszawie.

OLIWA. Spóźnił się biedaczek.

ELŻBIETA. Jakto?

OLIWA. Władysław wyprzedził go o jedną stację.

ELŻBIETA (*rozumniając aluzję*). Próżno przeto galopuje chcąc go dopędzić przed ołtarzem.

WŁAD. Konsyliu, nie uważałeś, że panna Wanda pobladła, zbadaj troskliwie stan jej zdrowia?

DOKTOR. Szczególna rzecz, zmizernieć na wiejskim powietrzu.

OLIWA. Miałebym sen okupywać jej zdrowiem?

WANDA. Bynajmniej, zwykła to moja cera, przytęm radość z przyjazdu doktora...

DOKTOR (*kończąc*). Rumieniec odwołała do serca. Nie ta przyczyna, dziecko.

DALIA (*do doktora*). A mnie ja kże pan znajduje?

DOKTOR. Zawsze równie piękną; lecz za to pan Władysław zechudł widocznie.

OLIWA. Nie — on tylko ztopniał na słońcu.

ELŻBIETA. Od świtu do zmierzchu w polu, przy pracy.

DALIA. Wyręcza ekonoma.

WŁAD. Jest człowiekiem, nie maszyną.

OLIWA. Napracuje się jak Władzio ztąd odjeżdżie.

ALFONS. Syn pragnie państwu w kwitnym stanie zostawić Konstantynów.

OLIWA. Zaledwie poznał dawną siedzibę, złote zrobił z niej jabłuszko; dziś możnaby tu już żyć wygodnie.

WŁAD. Nieprawdaż ojcze?!

OLIWA. I gdyby nie dawne nawyknięcia, ciągła monotonna.

ALFONS. I brak towarzystw.

DALIA (*kończąc*). Człowiek możeby zrezygnował się wegetować tu czas jakiś.

ELŻBIETA. Przesadzasz Dalcu, wszak mieszkają na wsi panowie.

DOKTOR. I nawet bardzo wyglądają czerstwo.

WŁAD. (*do ojca*). Stary Gruszkowski, najbliższy sąsiad, przepada za szachami.

OLIWA. Poczciwy wiarus, zawsze dostanie mata ode mnie, chociaż gra tego.

WŁAD. Jutro pošemy po niego.

OLIWA. Istny skarb takie sąsiedztwo; on jeden rozwesela mi tutejszy pobyt, wyście wszyscy bez humoru, jacyś powarzeni. Ale Biniu, panowie z drogi, pewnie głodni.

ELŻBIETA. Obiad za chwilę.

DALIA. Przejdźmy się tymczasem po ogrodzie.

ALFONS. Służę pani. (*Podawszy rękę, odchodzi z Dalią do ogrodu*).

SCENA V.

Elżbieta. Oliwa. Doktor. Wanda. Władysław.

OLIWA (*wstając, wskazuje Wandę*). Wylał ja Hipokratesie, posmutniała od jakiegoś czasu.

DOKTOR. I ja to spostrzegłem.

OLIWA. Nie pójdziesz z nami?

DOKTOR. Pozwól marszałku odpocząć staremu.

ELŻBIETA. I nacieszyć się faworytką.

DOKTOR (*wskazując nogę Oliwy*). Zrewidowawszy nogę, dziś odjechać muszę.

OLIWA. Nic z tego; nie puścimy.

ELŻBIETA. Zanocujesz doktorze.

DOKTOR. Pojutrze mam konsylium.

WŁAD. Wyjedziesz raniutko. (*Podaje ojcu ramię*).

DOKTOR. Ha, może się i namysle. (*Rozmawia z Wandą*).

ELŻBIETA (*do męża i syna*). Śpieszcie za Dalią, ja każę nakryć pod dębami. (*Ochodzą do pokojów*).

OLIWA (*do doktora*). Do widzenia. (*Oddala się wsparty na Władysławie do ogrodu*).

SCENA VI.

Doktor. Wanda.

WANDA. Co mi jest, pytasz? Nie rozumiem sama. Okropne sieroctwo moje z całą potęgą tęsknoty pierś ugniata. Wszystko w kolo mnie tak obce, tak mi wydaje się obojętne; czuję, że tu nieczyje przyjazne słowo nie złagodziłoby smutku mojego serca, ani przebaczyło jego słabości. Życie ubogiej sieroty, to bezustanna w naturze zima, nie szukać w niem słowików wiosny, kwiatów lata, plonów jesieni. Długa mroźna noc, w miejsce jasnych słońca promieni! Wieczna samotność przeznaczeniem opuszczonego przez rodziców dziecka. Żaloba z sukni przenika w duszę i czarnym ją kirem farbują na zawsze.

DOKTOR. Zkąd ci te ponure myśli? Pierwszy raz widzę cię tak upadłą na duchu. Gdzie dawna twoja dzielność? co tobie, dziecko? Czy ci tu jaką wyrządzono krzywdę? obraził cię kto?

WANDA. Nie; lecz jest tu coś w atmosferze nadzwyczajnej. coś, co trwoga przejmuję, ścina lodem, — pomimo ciepłego na pozór technienia grzeczności. Pragnę opuścić ten dom, zabierz mnie pan z sobą.

DOKTOR. Ależ Wando, przyrzekałś pobyt trzechmiesięczny. Wszyscy z ciebie zadowoleni, zapłacą dobrze; zastanów się. Sprawisz nowy mundurak bratu i ciotce na zimę salopkę. Wszak wiesz, że z lekiej trudno o sprawunek.

WANDA. Przysłałam też bez wahania na twoją propozycję, dla zarobku odjechałam od dziecka, dziś jednak...

DOKTOR. Cóż, czy tęskno do miasta?

WANDA. O, nie!

DOKTOR. Zatem do braciśzka i ciotki? Oni tam, mówilem ci, żyją swobodnie, co dzień chodzą na spacer i sami proszą, byś świeżego powietrza używała jak najdłużej.

WANDA. Jak najdłużej? Za nie!

DOKTOR. Figlarko przyznaj, że cię sławione wsi przyjemności znudziły niepomierne?

WANDA. Pan tego nie myślisz.

DOKTOR. Nie mogę przecież przypuścić, byś za mną lub moimi dziewczynkami tęskniła tak zawzięcie? innych przyjaciół nie masz; cóż zatem?

WANDA. Nie badaj pan, bo nie umiem odpowiedzieć.

DOKTOR. Straciłem twoje zaufanie, to źle.

WANDA. Bynajmniej; wyznam nawet, że z żalem, z wielkim żalem oddalić się będę z tych miejsc, lecz oddalić się muszę co prędzej.

DOKTOR. Dla czego? dla czego?

WANDA. Niewytłomaczona obawa i niepokój, smutek jakiś głęboki, to znów radość niewypowiedziana duchem moim targają naprzemian. Zamięszanie w myślach i sercu. Raz chciałam tu pozostać na wieki, a za chwilę uciec ztąd pragnę najgoręcej.

DOKTOR. Ha, kiedy tak, skoro sama nie wiesz czego żadasz, skoro kaprys twojem prawem, to powiedz państwu Oliwom i...

WANDA. Panie, czyż mnie tak znasz mało, byś pomawiał o grymasy? Wyspowiadałam stan umysłu dotąd mi nieznany. Wszak sam nieraz podziwiałeś moją rezygnację i odwagę w ciężkich zapasach żywota; wierzył przeto, że jedynie potężniejsza od mojej siła, ducha tak rozstroić zdołała... Uciekajmy ztąd, mnie tu coś spotka straszno!

DOKTOR (*ujmuje jej rękę*). Masz gorączkę, mocną gorączkę... (*Patrzy jej w oczy dotykając czoła*). Tyś chora... powiedz, jak tu żyjesz?... Śpisz ty w nocy?...

WANDA. Gram marszałkowi do drugiej; kładę się gdy dnieje. Ale to nie; tylko, że pokój pana Władysława nad moim i jego stąpienia usnąć mi przeszkadzają.

DOKTOR. Oszałał! Więc on także majaczy i spaceruje po nocach? Dla czego mu nie powiesz?

WANDA (*zakłopotana*). O! kiedy ja przy nim tracę śmiałość i swobodę.

DOKTOR. Co?... Pokrasniałaś! (*Uderzony myślą*). Ach! dobrze mówisz, trzeba ci ztąd odjechać bez zwłoki. Idź zbierz rzeczy, ja cię usprawiedliwię przed nimi, powiem żeś chęć ra i zabiorę z sobą jutro.

WANDA (*z przestraszeniem*). Jutro! już jutro!

DOKTOR. Stanowczo; a teraz idź...

WANDA. Gniewasz się pan?

DOKTOR. Naturalnie; jak można dać sobie chodzić po głowie; ale śpiesz.

WANDA. Idę, dobry panie, tylko nie łaj mnie więcej.

DOKTOR. No nie, nie, ty pieszczotko kochana. (*Całuje ją w głowę, Wanda go w rękę i odchodzi do swojego pokoju*).

SCENA VII.

Doktor, potem Władysław.

DOKTOR (*sam*). Oj źle! (*Uderzając się w czoło*). Nie przewidziałeś tego, stary niedołęgo... Biedna dziewczyna!... (*Wchodzi Władysław z ogrodu*).

WŁAD. Przybywam po ciebie doktorze, ojciec życzy zasięgnąć twój rady.

DOKTOR. Śpieszę, lecz wyjaw mi pan, czemu kręcisz się po nocy, zamiast leżeć w łóżku spokojnie? Nie wiesz, że Wandy pokój pod twoim. Bezsenność na diabła się przydała; wyglądasz jak cienie.

WŁAD. Czy panna Wanda słaba? lecz ją, ratuj doktorze!

DOKTOR. Zwolna, zwolna, nie niebezpiecznie, rozdrażniona jedynie. Zresztą, co to pana obchodzi?

WŁAD. Co mnie obchodzi? ależ nad wszystko! Jój zdrowie nie ma mnie obchodzić?

DOKTOR. Ani jój zdrowie, ani obecność, ani osoba. Jutro o świcie odjeżdżamy.

WŁAD. Kto? Wanda! (*Poprawia się*). Panna Wanda. (*Hamuje się*). Czyż-że to pomyśl? zkąd tak nagle postanowienie? Ona tu potrzebna... ojcu koniecznie, wszak wiesz... sama się zobowiązała... Wszyscy ją tak... lubimy...

DOKTOR. Ona tego nie wymaga — i w Warszawie...

WŁAD. (*przerywa*). I w Warszawie ją kochają... kto? kto? Wyznaj, dla czego ten raptowny wyjazd? Tyś jej list jakiś podał, może to od... od kochanka. Nie taj, nie ukrywaj nic, błagam na Boga!

DOKTOR. A gdyby i tak... to do pana nie należy. Ty się łączysz z inną — a ona nie jest-że wolna?

WŁAD. (*usiłując pokryć wzruszenie*). Najzupełniej; przyznaję. Zapomniałem o tém.

DOKTOR. Radzę pamiętać nadal.

WŁAD. (*jakby nagle powziąwszy postanowienie*). Powiedz mi doktorze, czy wiesz wynosząca przeszło dwa tysiące rubli dochodu, zagospodarowana jak najstaranniej, nie może wygodnego zapewnić utrzymania dwojgu niemłodym ludziom?

DOKTOR. I młodym by wystarczyła.

WŁAD. Ci mają dłonie zdolne do pracy. A daj, z ręką na sercu doktorze, jest-że powinnością dziecka, poświęcić szczęście całego życia wymogom rodziców, kastowym i spaczonym ich pojęciom?

DOKTOR. Wszelkie przekonania z naszymi niezgodne, wydają się nam spaczone; trudno oznaczyć linię demarkacyjną między dobrem urojonem a rzeczywistością. W każdym przypadku wola starszych i przyjęte dane przeważać powinny.

WŁAD. Nie, bo skoro, jak sam utrzymujesz, prawda względna, w własnym sumieniu zadowolenia szukać wypada. Ojciec oczekuje pana w ogrodzie.

DOKTOR (*odchodząc, na stronie*). Przybyłem za późno!

SCENA VIII.

Władysław, sam.

WŁAD. Idź, szatański konserwatysto, byleby siwe włosy po dawnemu były zaczesane, niech tam ktoś czarne wyrzywa z rozpacz!... On miał dla niej czułość ojca, a teraz... Przesąd nie umarł, drżenie gdzieś w kacie, za lada podmuchem otwiera Argusowe oko i w gromy kłatw apostazy, najdroższe przeciw nam uzbraja usta! Ten stary coś dostrzegł i chce ją ztąd porwać. Oż dopiero gdy ojciec się dowie?... Ileż bolesnych walk mnie czeka. Odwagi! (*Wchodzi szybko Wanda*).

SCENA IX.

Wanda, Władysław.

WANDA (*wchodząc*). Słówek jeszcze, doktorze, (*spostrzeplony pomyłką*) ach, już odszedł?

WŁAD. W tej chwili. (*Wanda chce wrócić do swojego pokoju, Władysław ją zatrzymuje*). Dokąd tak śpieszno? Czemu pani zawsze mnie unikasz?

WANDA (*niewesoła*). Ja? bynajmniej...

WŁAD. Zamierzasz porzucić nas... prawdaż to?

WANDA. Doktor twierdzi, że tutejsze powietrze...

WŁAD. Nie, nie. Pan Woźniński wręczył ci jakieś pismo i ono to zapewne nasunęło ten zamysł. Panno Wando, od kogo list?

WANDA (*z uśmiechem*). Widocznie przyczyna upadku Ewy nietylko jej córkom dostała się w spuściznę.

WŁAD. O, nie z próżnej ciekawości, wierząc, że ważniejszych daleko pobudek pragnąłbym wiedzieć, kto pisał ów list?

WANDA. Nie wstyd panu podobnych pytań?

WŁAD. Dla czego ten gwałtowny wyjazd? kto cię wzywa? Tęsknisz za kim? Nie jesteś wolną?

WANDA. Co znaczy ta mowa?

WŁAD. Bo pani nie pojmujesz, jaki nieraz w piersi człowieka powstaje zamęt. Straszniejsze niż w przyrodzie walczą tu (*wskazując pierś*) prądy, szaleją burze, ryczą uragany namiętności! Miłość niewzajemna, żarem swoim paląca ciało, obezwładniająca wolę, to simum zięjący zniszczeniem! Rozczarowanie, zawód — piorunami. Rozkosz — błyskawicą. Zazdrość — ach, na nią już nie ma porównania, zazdrości tortury nieznane żywiołom, jak wszystkie te wstrząśnienia tobie, nieprawdaż? Powiedz pani, znasz je? kochałaś kiedy?

WANDA. Co za przypuszczenie!

WŁAD. Pomów ze mną raz przecie, otwarcie i szczerze.

WANDA. Nawet nie umiem inaczej.

WŁAD. Zatem odpowiedz.

WANDA. Na cóż to panu?

WŁAD. Wyznaj, proszę.

WANDA. Czy kochałam? Uboga dziewczyna bez rodziny, przyjaciół, prawie bez dachu, gdzie spotkać na swojej drodze kwiat tak rzadki i kosztowny, jakim jest miłość? Mamże sposobność poznać kogo, albo być poznaną. Czy posiadam nawet potrzebną swobodę umysłu, by marzyć, pragnąć, zdobywać? nie — w sferach, w których wzrosłam, pokochałbym nie potrafiła. Ludzie równi mi urodzeniem, są po większej części słabo lub wcale nie rozwinięci intelektualnie, więc dla mnie za mały. Ukształceni zaś, lecz nie zamożni, z uprzedzeniem spoglądają na każdą guwernantkę, napiętnowaną w ich mniemaniu nieukróconymi kaprysami i przerażająco abstrakcyjnym rozumem, całkiem niepraktycznym w domowym gospodarstwie i odwracają się zestrąszeni. Dla nich jam za wiele. W przekonaniu bogatych znów ja za mało. Słowem, nauczycielka, to anomalia w świecie. Wyższa od prostaczków, którym równa — równa panom, od któ-

rych niższa. Tolerowana, póki potrzebna — wyśmiana, odrzucona, skoro praw swoich, praw kobiety zażąda. Samotna wśród tłumu, kogóż ma kochać? W młodości obowiązek, na starość... ptaszki.

WŁAD. Czemuż więc sama uchodzisz przed kwiatem miłości?

WANDA. Ja?

WŁAD. Dostrzegłaś uczynione na mnie wrażenie i oto powód ucieczki.

WANDA. Co pan mówisz?

WŁAD. Pewny swobody twojego serca, nie będę wahać się dłużej.

WANDA. Co to jest?

WŁAD. Zerwę małżeństwo z Dalią.

WANDA. Co! co!

WŁAD. Ponieważ jedyną kobietą, z którą mógłbym być szczęśliwy, która urzeczywistnia w moich oczach ideał doskonałości ludzkiej — ty jesteś!

WANDA. Panie!

WŁAD. Czy przyjmiesz rękę moją i nazwisko?

WANDA. Ja?!

WŁAD. Wando, to nie płochy młodzieniaszek, w pierwszych krwi wybuchach, szepce ci nierozważne zaklęcia, ale dojrzały latami człowiek wypowiada w prostocie i przeświadczeniu to, co uznał za niewzruszoną prawdę: Tyś dla mnie wszystkiem.

WANDA. Bóg!

WŁAD. Jam cię ukochał, jak nikt jeszcze nikogo nie ukochał w świecie! Czém dla rozbitka widok ziemi, dla wygnańca wspomnienie ojczyzny, dla potępienia niebios nadzieja, tém miłość twoja dla mnie!

WANDA. Czy to sen!

WŁAD. A teraz powiedz, chcesz-że zostać moją żoną?

WANDA. Twoją żoną? Niepodobna!

WŁAD. Dla czego?

WANDA. Wiesz kto jestem i pytasz?

WŁAD. Wiem jaką jesteś i to dość. Zezwalasz?

WANDA. Siły mnie opuszczają...

WŁAD. Wando, moja Wando, przez litosć...

WANDA. Alboż mi wolno?!

WŁAD. Odpowiedz, moje życie w twoim przyzwoleniu!

WANDA. Niestety!

WŁAD. Nie zabijaj mnie niepewnością! I cóż? i cóż? Miałabyś w twojej duszy kryć dla mnie nienawiść?

WANDA (*z przerażeniem*). Nienawiść!

WŁAD. Zatem obojętność?

WANDA. O nie!

WŁAD. Więc powiedz, wyznaj... zaklinam na Boga, kochasz że mnie? Wando ubóstwiona, odpowiedz jednym wyrazem, spojrzeniem...

WANDA (*wznosząc oczy w niebo*). Wesprzyj mnie, matko moja!

WŁAD. Żadnaż prośba cię nie wzruszy? (*Wanda chce oddalić się, Władysław ją zatrzymuje*).

WANDA. Puść mnie pan!

WŁAD. Odpowiedz, odpowiedz pierwój... kochasz?

WANDA. Błagam...

WŁAD. Mów, o, mów!

WANDA (*po chwilowym pasowaniu się z sobą*). A więc, tak!

WŁAD. (*chwytając ją w objęcia*). O najdroższa, dzięki tobie, dzięki! (*Na to wchodzi Dalia z ogrodu*).

DALIA. Ach! (*Władysław i Wanda chwilę zmieszani, następnie Władysław odprowadza Wandę do drzwi jej pokoju i wraca do Dalii*).

SCENA X.

Władysław. Dalia.

WŁAD. (*do Dalii*). Pani, uczucia nie od nas zależą, nakazać ich nie można, wzbudzić potrzeba. Nie obwiniaj tu przeto nikogo, ani mnie, ani jej, ani siebie. Miłość między mną a tą kobietą, była koniecznym, nieuchronnym wynikiem zetknięcia się dwojga istot, połączonych w przedwiecznej idei Bożej bratnim technieniem nieśmiertelnego ducha. W nas obojgu jedna dusza, a tej przecież rozdzielić niepodobna; to też Wanda i ja razem odbywać musimy doczesną pielgrzymkę. (*Odchodzi*).

SCENA XI.

Dalia, sama.

DALIA. Tak mniemasz? ha, jaka zdrada! On, mój przysły małż i ona!... zgroza! Co począć?... *Zespoleni przed poznaniem się?* — baśnie! *Predestynacya?* — kłamstwo! Prawda w tém tylko, że Władysław już jęj nie porzuci. On miałby zwieść ubogą sierotę?... nigdy! Zwieść sierotę, co za drastyczny temat do jego humanitarnych deklamacyj! opuści raczj mniel... Jak działać, by ujść takiego wstydu i poniżenia? Wyjawić rodzicom? on ich nie posłucha, a ja cóż zyskam? Powołać się na prawa narzeczonej? jakież upokorzenie! Udać się do nięj z prośbą? o, za, nie! Z groźbą? téj nie ulęknie się harda dziewczyna! Zatem cóż? cóż mi pozostaje? *(Po chwili, uderzona myślą)*. Ach, a gdyby?... Wszak złoto jest tętmem wszech istnienia, podstawą, motorem wszystkich żądż, namiętności i czynników ludzkich... ono jest osią świata moralnego. Jego obecność wywiera wszędzie wpływ potężny, czemużby i tu nie użyć téj pomocy? Nieinaczj, najpewniejszy to środek powodzenia, jedyny zatem zdolny skłonić i ją, nędzną bakalarę, do zrzeczenia się miłości Władysława, a nawet, co ważniejsza, do zaparcia się własnych uczuć. Od nięj bowiem tylko pochodząca odmowa, potrafiłaby wywołać reakcyę w jego sercu i zwolnić z uczynionych niewątpliwie przysięg. Innęj rady nie widzę — zatem prędcj do dzieła! *(Puka do drzwi Wandy)*. Proszę tu na słówko! *(Wchodzi Wanda)*.

(D. c. n.)

WANDA.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

NAPISZAŁA

ZOFIA HELLEROWA.

(Dalszy ciąg. — Patrz Nr. 238.)

SCENA XII.

Dalia. Wanda.

WANDA (wchodząc). Czego pani życzy?

DALIA. Spytać, czy panna wiesz, kto moim narzeczonym?

WANDA (dając głowę znak potakujący). Tak.

DALIA. Jakiem więc prawem poważasz się serce jego odrywać ode mnie?

WANDA. A pani jakim prawem żadasz mojej odpowiedzi?

DALIA. Jesteś zuchwałą, wiem o tym; nie sądzę wszakże, iż zamysły twoje uwieńczy skutek. Władysław ze mną się ożeni, lubo mnie już może przestał kochać, dzięki twojej złośliwości.

WANDA. Pani!

DALIA. Posłuchaj spokojnie. Jego rodzice stracili cały majątek, jedyna wioseczka stanowi ich utrzymanie; Władysław nie posiada nic, jest biedny, rozumiesz pani, zupełnie biedny.

WANDA. To dla mnie obojętne.

DALIA. Chcesz powiedzieć, że uczucia twoje nie mają nic wspólnego z kwestyą materyalizmu, mniej-sza z tem; uważaj dalej: marszałkostwo przywykło do wygod i zbytku, nie zdolają w tym wieku znieść niedostatku, w jaki niechybnie popadną, jeżeli małżeństwo ze mną zostanie zerwane. Władysław zabije się pracą, a starzy przeklinać cię nie przestaną.

WANDA. Do czego to wszystko zmierza?

DALIA. To jedna strona medalu; druga jest taka: skoro tylko cośkolwiek szepnę pani Oliwowej o scenie dzisiejszej, wnet heroina tej dramatycznej sytuacji sromotnie opuści te progi. Nie lędz się również, że marszałkowa zezwoli kiedyś na wasze połączenie, pojmie ona, iż związek ten wydzierając im dobrobyt, okryłby ich jeszcze śmieszością w oczach ludzi, pośród których żyją. Wszelkie przeto usiłowania wciśnięcia się do rodziny, stanowiskiem, urodzeniem, zasadami, tradycją tak przeciwną pochodzeniu i fortunie pani, są szaleństwem, wariacją! Zastanów się sama.

WANDA. Cierpliwość, z jaką słucham tych delikatnych i niegrzecznych uwag, powinna przekonać panią, że postanowienie moje już zrobione.

DALIA. Zgaduję, postanowiłaś wydrzeć mi męża, ale nie zezwolę na to, nie, przysięgam! Chyba nie wiesz, że dotąd wszyscy ślepo spełniali moją wolę, zachcenia najłżejsze? Ty jedna, guwernantka, śmiesz upokarzać mnie w najboleśniejszy sposób; nie z tego. Przyznaję, że jakkolwiek Władysław bardzo mnie zajął, nie kochałam go jednak; zbyt mnie traktował obojętnie, on jeden nie padał przede mną na kolana. Ale dziś, kiedy mam go utracić, kiedy mi go rywalka porwać usiłuje, groźnie stoję w obrobie praw moich i nie dopuszczę nad sobą zwycięstwa! (Wanda odwraca się od niej). Nie urągaj mi Wando, ja nie znoszę przeciwności, znoś się ich nie nauczyłam!

WANDA. Czyż dla tego, że walczę z niemi od kolebki prawie, nigdy promyk szczęścia nie ma zagrozić w mojej duszy?!

DALIA. Próbowalam przyciągnąć go zazdrością, przysiliłam się Alfonsowi, innym — napróżno; tyś go uroczyła. To jednak bezowocnie przejdzie dla ciebie, żonę jego nie zostaniesz, oni nie zezwolą nigdy; kochanką zaś...

WANDA. Milcz pani!

DALIA (koncząc). Rzecz niepewna i niebezpieczna. W każdym tedy przypadku, miłość ta nie może mieć dla ciebie pomyslnych rezultatów. Najrozsądniej przeto, najkorzystniej byłoby wyrzec się jej, uwiadamiając listownie bohatera, że go nie kochasz.

WANDA. A przed chwilą?...

DALIA. Wytlómacz to jakąś przemijającą słabością, zdenerwowaniem, kaprysem i wyjeżdż gdzie potajemnie, by nie odnalazł cię nigdy. A za to na

drogę, na naukę dla twojego brata, na twój posag dam ci sto tysięcy. (Widząc oburzenie Wandy, postępuje sunny). Dwakroć... połowę majątku!... co?... nie dość ci jeszcze? lichwiarko!

WANDA. Wstrzymaj się!... Łatwo dać pieniądze, kto je posiada; jabym ci duszę na wieczność oddała za jeden rok z nim przeżyty! Czy nie spsstrzegasz, bogata dziedziczka, mająca złoto, wielbi-cieli, opiekunów, przyjaciół, swobodę, zabawy i wszystkie uciechy, za którymi gonią ludzie, że lichwiarką ty jesteś właśnie, bo ubogiej sierocie, pracującej w trudzie na chleba kawałek, wydrzeć pragniesz jedyny uśmiech losu, jaki dotąd na ciężkiej, tułaczkiej spotkała wędrowce! A sięgasz po niego nie z potrzeby serca, lecz z próżności i obrażonej pychy! Więć nie mam nad tobą miłosierdzia, jak ty nie masz go nademną! Przypuszczam, że będę zmuszoną dla dobra Władysława poświęcić uczucia moje; ale tylko dla dobra jego, słyszysz pani, dla żadnych innych względów nie zrzeknę się ich, choćby mi ofiarowano wszechświata całego skarby! (Kieruje się wzruszona ku swojemu pokojowi).

DALIA. I to ostatnie twoje słowo?

WANDA (przy drzwicach). Pierwsze, ostatnie i niezmienne, jak miłość moja. (Znika).

DALIA (z groźbą). Zobaczymy! (Ochodzą do siebie).

Akt trzeci.

Ogród. Z prawej aleja prowadząca do mieszkania, z lewej widnieją część chińskiego altany; w głębi sztachoty z bramą. Stoliki i krzesła ogrodowe.

SCENA I.

Dalia, wchodzi z prawej.

DALIA (sama). Całą noc nie zmrużyłam oka; nieznosna sąsiedzka, wizyta, przeszkodziła wczoraj wyjaśnieniom. Mamże walczyć ja?... moja duma oburza się na to... nie mnie pierwsze robić kroki. Czekajmy! Ta szalona odrzuca rozsądne rady, pomoc materyalną, więc chyba ma nadzieję... cierpliwości! (Z prawej wchodzi Władysław, n. s.). A przecież!... Ciekawam z czem przybywa?

SCENA II.

Dalia. Władysław.

WŁAD. Przychodzę prosić o chwilę rozmowy sam na sam. Winienem ci szczere wyznanie prawdy, która jakkolwiek przykra obojgu, dłużej tajoną być nie powinna. Chcę mówić o... rozumiesz mnie Dalio?

DALIA (na stronie). Aż nadto! (Głośno). Tłómacz się jaśniej.

WŁAD. Niedługo rodzice ułożyli sobie połączyć nas; po śmierci twoich, zamieszkałaś w naszym domu, ja uczyłem się gospodarstwa za granicą. Od dwóch lat osiadłszy na wsi, widywałem cię rzadko, ponieważ namiętna zwolenniczka wrzawy, miasta, ani na tydzień porzucić go nie chciałaś. I w tych krótkich momentach mego w Warszawie pobytu, skłonności, charakter, upodobania nasze dzieliły nas jeszcze. Unikaliśmy dłuższej, poufnej rozmowy, lękając się sprzeczki; widocznie nie byliśmy dla siebie stworzeni, racz przyznać sama. (Dalia milczy). Nadzieja pogodzenia naszych przekonań znikła coraz bardziej. Z trwogą zapytywałem siebie, czy potrafię cię uszczęśliwić? głos wewnętrzny odpowiadał przecząco; czekałem, by odmowa wyszła z ust twoich.

DALIA. Ach, tego czekałeś?!

WŁAD. Dalio, porzuć ten ton ironiczny, duszę ci moją otwieram! Dwa lata przeszły w utarczках i nieporozumieniach; lubo nie kochany przez ciebie, pragnąłem z początku spełnić rodziców wolę. Następnie, gdy coraz dotkliwiej uczuwałem różnicę pojęć, zacząłem szukać sposobności — przebaczyć, nie umiem być obłudnym — cofnięcia zobowiązań, bez ubliżenia tobie. Zjawienie się w naszym domu osoby... kobiety!... przyspieszyło stanowczą chwilę. Pojmujesz sama, że miłość w małżeństwie jeśli nie jest wszystkiem, jest niczem; ona fundamentem, na którym gmach szczęścia wznosimy. Tobie łatwo

wzbudzić przychylność nie w jednym sercu; wróć mi zatem dane słowo i rozstańmy się bez gniewu.

DALIA. Zrywasz najgorętsze rodziców życzenia, cóż oni na to?

WŁAD. Ztąd śpieszę do nich z wyznaniem.

DALIA. Porzucasz mnie dla jednej?...

WŁAD. Dalio! (Spokojnie). Mówmy o tobie.

DALIA. O mnie? Może radbyś zostać moim swatem, wybrałeś już kogo?

WŁAD. W istocie, mógłbym ci wskazać ołówek godnego twój ręki.

DALIA (przerzuca, z wstającą ironią). Jaka wspaniałomyślność! Zawsze pełen dobroci dla drugich, chociaż i o sobie nie zapomina! Tym razem wszakże racz mnie wyłączyć z tklivej opieki i o mój los być spokojnym. Na wzór izraelskiej niewiasty w żałobie, ja nie posypię głowy popiołem, nie rozdę szaty od góry do dołu, ani nakrywając się workiem, siedę zawodzić wieczny lament po zdradzie niewiernego! Przeciwnie, podziękowawszy uprzejmie za miłą otwartość, z jaką mi wyjawiasz, iż inną, mniej godną, przenosisz nade mnie, obejrzę się w około i sama już sobie pocznę szukać męża. Nie dla tego, bym uważała małżeństwo za instytucję ze wszech miar doskonałą, bynajmniej; lecz, że dotąd w jej miejsce nie wynaleziono nic lepszego.

WŁAD. Ucieszony tak praktycznym poglądem, dodam, że dzień twojego wesela będzie i dla mnie radośnym.

DALIA. Zerwaniem układów przeszłości zgotowałeś sobie, jak uważam, obfity plon szczęścia w przyszłości; a nie licząc uroczej chwili wczorajszej...

WŁAD. Powiedz raczej — uroczystej!

DALIA. Nieprzyzwoitę, jeśli mam być szczerą.

WŁAD. Dalio!

DALIA. Mówmy o tobie. Co to wyliczałam?... ach, oczekujące cię rozkosze, moje i twoje zaręczyny, twój i mój ślub, moje i...

WŁAD. (przerzuca). Pozwól pożegnać cię życzeniem niezmienną pogody i zadowolenia w całym twym życiu.

DALIA. Wdzięczną jestem nieskończenie najczulszemu z Don Kiszotów. Postaram się być szczęśliwą, choćby tylko dla dogodzenia twoim chęciom i pięknej Dulcynei z Toboso! (Władysław oddala się na prawo).

SCENA III.

Dalia, sama.

DALIA. Odszedł!... odszedł!... okrutnik! Żeby przynajmniej iskierka żalu, przychylności błysnęła w jego źrenicy! nie... bezdenna przepaść, martwota widniała mu z oczu! On mnie nigdy nie kochał!... nigdy!... A ja?... ja byłam równie obojętną... zkaż-że mi więc od wczoraj tak nagłe wzruszenie? ból? Jest-że to kaprys rozpieszczonego dziecka, któremu odebrano cacko? czy podrażniona próżność? czy zazdrość na widok szczęścia innej? czy nakoniec wrodzony ludzkiej naturze pociąg do wzbronionego? dość, że w piersi powstały: głęboki żal za utraconym, żądza zemsty, chaos! (Spoglądając na rękę). Co to?... Iza pocięła z pod powieki?... Iza gniewu, upokorzenia i wściekłości! precz z nią! (Ociera rękę). Nie chcę płakać, nie chcę kochać niewzajemnie; pragnę jedynie śmiać się, bawić, szaleć!... bom ja bogata i los mi wszystko szle w ofierze, wszystko... prócz szczęścia! (Zasłania oczy, wchodzi Alfons z lewej).

SCENA IV.

Dalia. Alfons.

DALIA (usłyszawszy szelest, szybko ociera oczy i pyta gorączkowo). Powiedz mi pan, czy ona piękna?

ALFONS. Kto?

DALIA. No ona, — Wanda.

ALFONS. Czy piękna?

DALIA. Ach, przecież pytam wyraźnie: piękna?

ALFONS. Zkaż-że znów, rzekłbym raczej: brzydka. Koloryt wprowadzcie matowy, ale nie dość jasny, rysów żadnych, oczy tylko...

DALIA. I to jakieś zielone! Z tem wszystkiem...

ALFONS. Co? podobiała się komu?

DALIA. Szalenie, zapamiętała.

ALFONS. Winszuję gustu. I komuż? tutejszemu ekonomowi?

DALIA. Władysławowi, który z nią się żeni.

ALFONS. Bogi nieśmiertelne! A państwo marszałkostwo!?

DALIA. Ani się domyślają; mnie najpierw zawiadomiono.

ALFONS (*zaledwie mogąc ukryć radość*). Czy podobna?!

DALIA. Władysław poświęca jój półtora miliona.

ALFONS. I tę rączkę! Gdybym był jego ojcem, kazałbym go zamknąć u czubków. Czy pani powoła się na dawne przyrzeczenie i wolę rodziców?

DALIA. Pierwotnie miałam ten zamiar, teraz — nie.

ALFONS. Wolnoż spytać o przyczynę zmiany?

DALIA. Przed chwilą wyznał tu bez ogródki, że mnie nie kocha. W obec takiego dictum, co znaczą moje prawa?

ALFONS. Słusznie; osoba jak pani, nie potrzebuje zdobywać, łupy same winny słać się w pokorze.

DALIA. Czy pan zawsze jednym z nich?

ALFONS. I nigdy nim być nie przestanę.

DALIA. Mnie, czy nędzną wielbisz mamonę?

ALFONS. Obraża mnie podobna wątpliwość. Jak mało mężczyźni dbają o pieniądź, dowodem Władysław.

DALIA. I to mnie olśniło. Póki na równi z innymi posądzałam go o cheiwość, ceniłam w nim jedynie świetny ród i nazwisko. Dziś, poznawszy lepiej, zazdroszczę, tak, zazdroszczę téj dziewczynie gminu jego miłości! Ale dość w tym przedmiocie. Mama pana ciągle mieszka na Wareckiej?

ALFONS. Tak pani.

DALIA. Jedź tam, wkrótce będziesz miał o mnie wiadomość.

ALFONS. Niebieska Dalio, czy promykiem tęczy darzysz najwierniejszego z niewolników?

DALIA (*wzruszając ramionami*). Niebieska? Jedź pan, mówię i to śpiesznie, w domu dowiesz się o wszystkim. (*Odchodzi na prawo*).

SCENA V.

Alfons, sam.

ALFONS. O Fortuno ślepa, przejrzałaś nareszcie! Za upokorzeń, wytrwałości tyle, zdecydowałaś się przecie, róg twój obfity nachylić w moją stronę. Z kłótni tych dwojga skorzystam może trzeci. Dziewczyna przez złość, przez zemstę gotowa... Bogi! zwaryuję z radości! Jakiż bo mi uśmiecha się żywot rajski! Najpiérw abonowana łoża na włoską operę, — miejscowa zbyt monotonna; dalej salon otwarty dla wszystkich artystów-cudzoziemców, — tutejszym brak szyku; amatorskie teatru po francuzku, — krajowym bowiem wyrobom niedostaje... musztardy. Na mnie najmodniejsze garnitury, koło żony roje, stada, trzody złotych paniczów, w przyzwoitej wszakże odległości. Warszawa dziwy opowiadając o moich balach, rautach, koncertach, in petto pękać będzie z zazdrości. Ach! Eden opuszcza brzegi Eufratu i Tygru, a przenosi się nad Wisłę!... lecz pst: nie łówmy ryb przed niewodem, jeszcze Dalia nie moją, złotko nie w kieszeni! Tymczasem pędzę do matki oczekiwać wyjaśnienia. (*Chce się oddalić, wchodzi Elżbieta głębią*).

SCENA VI.

Elżbieta. Alfons.

ELŻBIETA (*na stronie*). Jeszcze tu! (*Głośno*). Jak uważam, Konstantynów posiada niepojęty urok, skoro tak zapalony światowiec porzuca miasto, by nudzić się z nami?

ALFONS (*na stronie*). Lęka się współzawodnictwa; biedaczka ani przypuszcza, co się święci. (*Głośno*) Przyznaję, że nigdy dotąd wieś tak mnie nie zachwycała; co bądź o niej pisali poeci, dawniej przesyadne, obecnie wydaje mi się za blade. Pomimo jednak wszystkich jój czarów, pożegnać muszę miejsca tak dla mnie ponętne.

ELŻBIETA. Porzuca nas pan? (*Na str.*) A przecież!

W A N D A.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

WARSZAWA

ZOFIA MELLEROWA.

(Dokończenie. — Patrz Nr. 239.)

SCENA VII.

Elżbieta, potem Oliwa, Władysław.

ELŻBIETA (*sama*). *Na wieki! Lis, radby nam milionik zdmuchnąć układnie. Próżne starania, domorosły Demostenesie! (Oliwa i Władysław wchodzi z prawej).*

OLIWA. Wylazłszy jak żaba na słońce, spotkałem wychodzącego z domu Władysia, w tak głębokim zadumaniu, że potrafił mnie nie widząc, za co też zfucałem go porządnie. Polskiemu szlachcicowi nie być Manfredem, nie prawdaż Biniu?

ELŻBIETA. Posępne usposobienie Władzia i mnie trwożyć poczyną. Kryje on coś wewnątrz, nie posiadając dostatecznego w nas zaufania, by zwierzyć tajemnicę.

WŁAD. Dawno już pragnąłem to uczynić, lecz bojaźń waszego niezadowolenia, gniewu — i to nie na mnie tylko, zamykała usta. Dziś przecież postanowiłem pomówić otwarcie. Szukałem was właśnie, gdy ojciec napadł na mnie z wyrzutami.

ELŻBIETA. Tyś blady, dziecię...

OLIWA. No, zasiadam jako sędzia prezydujący i słucham. (*Do żony*). Ty, pisarzu, umieść się przy stoliku, (*do syna*) podsądny na ławie, rzecznikiem będzie Morfeuszek, świadkami Dalia i Alfons, ludek ściągnąć z kuchni — i ot trybunał gotowy. (*Chce dzwonić*).

WŁAD. Wstrzymaj się ojczy, rzecz tu ważniejsza, niż sądzisz.

OLIWA. Doprawdy?

WŁAD. Wszystkie wasze chęci, marzenia, spełzły bezpowrotnie.

ELŻBIETA. Jakiż?

WŁAD. Nie mogę ożenić się z Dalią.

OLIWOWIE. Co! co?!

WŁAD. Nie mogę.

ELŻBIETA. Jakiż powód?

OLIWA. Co to znaczy?

WŁAD. Charaktery zbyt różne.

ELŻBIETA. Kwestya czasu, nic więcej.

OLIWA. Pozbawiasz nas dostatku.

WŁAD. Zdwoję pracę.

ELŻBIETA. Pomysłność odpychasz od siebie.

WŁAD. Z Dalią nie zaznałbym jój ani chwili.

ELŻBIETA. Cóż jój zarzucasz?

WŁAD. Wszystko, wszystko! Prędzejby północ

z południem w jeden splotły się uścisk, niż nasze dwie natury zjednoczyć zdołały.

OLIWA. Waryacie, toż milion!...

WŁAD. Niezém, (*Oliwowie spoglądają na siebie osłupiali*) w obec...

ELŻBIETA. Dokończ.

WŁAD. W obec przywiązania.

ELŻBIETA. Nie kochasz jęj, ale nawyknięcie...

WŁAD. Nigdy!

OLIWA. Tyś chory...

WŁAD. Serce oddałem innęj.

ELŻBIETA. Nieszczęśliwy, i komuż?

OLIWA. Bez naszej wiedzy?

WŁAD. Osobie stokroć bogatszej od Dalii w duszy zalety, choć niższej urodzeniem.

OLIWA. Na wzór Dumasa syna, szukasz pereł w śmieciisku.

WŁAD. Proletaryat nie jest prostytutką, ojcze!

ELŻBIETA. Zgaduję; Wanda!

WŁAD. Tak, ją kocham nad życie!

ELŻBIETA. Ha, nikożemna!

WŁAD. Matko, cofnij ten wyraz!

OLIWA (*do żony*). Uspokój się; czas najskuteczniejszym na wszystkie (*wskazawszy syna*) gorączki kompresem — i miłość ostygła. (*Do Władysława*). Pomnę, w młodości tak kochałem twoją matkę, żem gotów był najstraszniejsze dla niej popełniać szaleństwa. Raz nawet, olśniony jęj powabami dopuściłem się, wstyd wyznać, wierszy!... A dziś, uważam, jaka zmiana, często na najzimniejszą prozę zbraknie mi odwagi! (*Spoglądając, że w obec żony zapędził się za daleko, całuje ją z galanterią w rękę, dodając ciszej*). Przebac Biniu, ja tak mówię umyślnie, dla uleczenia chłopca.

ELŻBIETA. Tę bezwstydną wypędzę w ten moment.

WŁAD. Bez niej nie ma dla mnie istnienia!

ELŻBIETA. Okropność! stolarczanka!

OLIWA (*sztydersko*). On ci odpowie na to słowami nowoczesnych fizyologów: — wszyscy pochodzimy od sałaty, wszechprotoplasta — komórka.

WŁAD. Jedynie duchową uznaję hierarchię, znam tylko arystokrację czynu.

ELŻBIETA. I ja sama w dom ją przyjełam?

WŁAD. Radość nam wniosła, ojciec zdrowszy.

OLIWA. A wolalibyśmy nie zasnąć, aż w dolinie Józafata!

WŁAD. Ja zaś bez niej, nie zbudzić się już jutro! Matko, błagam... ojcze... Dalii zwróciłem słowo.

ELŻBIETA. Szalony!

OLIWA (*z westchnieniem*). Chude pożarły tłuste, jak w śnie Faraonowym.

WŁAD. Czyż odmówicie błogosławieństwa?

ELŻBIETA. Co! chcesz ją za żonę?

WŁAD. A ty jak myślałaś matko?

ELŻBIETA. Zgroza!

WŁAD. Zatem mniejszą zbrodnią w twojem przekonaniu zhańbić ubogą dziewczynę, niż ją zaślubić?

ELŻBIETA. Syn Bironskich z Kaliskiego przysięgał dogonną miłość córce pocztmistrza, a w kilka miesięcy ożenił się z pół milionem.

WŁAD. (*z oburzeniem*). O!

ELŻBIETA. Jego rodzice nagrodzili łatwowierną ofiarowaniem posagu.

WŁAD. Przestań matko, przestań. Wolalibyśmy urodzić się synem wyrobnika, niżkość jego pojęć usprawiedliwiłbym przynajmniej brakiem oświaty.

OLIWA. Władysławie!

ELŻBIETA. Nikt drzwi nie zamknął przed Bironskim.

WŁAD. Ponieważ w kodeksie zapomniano nadużyć wiary i oszustwo tego rodzaju osobnym oznaczyć paragrafem.

ELŻBIETA. Opinia również...

WŁAD. Uwzględnia zdradę, nie badając, że złodziej nocą skradający się po zdobycz, mniej jest nikczemnym od Lowelasa, naraża bowiem wolność, a często i życie, gdy tymczasem uwodziciel pewny bezkarności, nawet odwagi złodzieja posiadać nie potrzebuje!

ELŻBIETA. Rzecz jednak z przyzwoleniem, nie powinna być uważana za...

WŁAD. Nazwałabyś tu występkiem przemoc brutalną jedynię? A słów matko, a zaklęć, a przysięg i prośb, czy sądzisz, mniejsza jest potęga?

ELŻBIETA. Nie przeczę, wszakże...

WŁAD. Zawsze słabszy winnym, nieprawdaż?

Otóż ja rodzice, oświadczam stanowczo, że kochając z całej duszy Wandę, albo ją zaślubię, albo pójdę od niej i od was na krańce ziemi i już nie zobaczymy się nigdy. (*Oliwa dzwoni, służący wchodzi z prawej*).

OLIWA (*do służącego*). Prosić tu panny Wandy. (*Służący odchodzi*).

WŁAD. Co zamierzasz?

OLIWA. Pożegnać i ją zarazem.

WŁAD. Ojcze, nie zapominaj, żem już nie dziecko!

OLIWA. Cóż ztąd?

WŁAD. Nawet tobie nie dozwolę znieważać wybranej przeze mnie kobiety! (*Wanda wchodzi z prawej*).

SCENA VIII.

Elżbieta. Wanda. Oliwa. Władysław.

ELŻBIETA (*do Wandy*). Panna poważyłaś się podnieść wzrok na naszego syna, ohydzić mu ułożony związek i sprowadzić z drogi powinności...

WŁAD. (*z prośbą*). Matko!..

ELŻBIETA (*do syna*). Pozwól. (*Do Wandy*). Zręczność ta wszakże nie na wiele się przyda. Władysław nie ożeni się z Dalją, być może; lecz panna nigdy nie zostaniesz jego żoną.

OLIWA. Przynajmniej póki my żyjemy.

WŁAD. (*j. w.*) Mój ojcze!..

ELŻBIETA. Zbyt drogo opłacamy nieprzezorność przyjęcia w dom niecnej intrygantki.

WANDA. Ach! Czy to do mnie?! (*Grą niemą objawia miotające ją uczucia*).

WŁAD. Oddal się pani, nie słuchaj bezprzymiślnych uniesień gniewu!

ELŻBIETA. Podstępem zapragnęłaś zdobyć tytuły, męża, dom; nie z tego nie osiągniesz wszakże.

WŁAD. Matko! matko!

ELŻBIETA. Między motłoch, z którego powstałaś, zarzucaj swoje sieci.

WŁAD. Dość już, na Boga!

WANDA. To się nie godzi!

OLIWA. Więc powiedz-że panna co przecie na twoją obronę!

WANDA. I czém-że ja was przekonam?!

ELŻBIETA. Tak, nie ma usprawiedliwienia na podobne zuchwalstwo. Dziś jeszcze opuścisz te progi.

WANDA. Natychmiast, ach natychmiast! (*Odchodzi ku prawej*).

WŁAD. Jadę za tobą Wando! (*Do Oliwów*). Was, moi rodzice, żegnaj na zawsze! (*Kieruje się ku głębi*).

ELŻBIETA (*do syna*). Co zamysłasz?! (*Wanda zatrzymuje się*).

WŁAD. Szukać zarobku u obcych i zaślubić tę, którą kocham. (*Odchodzi głębią. Wanda okazawszy znak najwyższej radości, znika z prawej*).

SCENA IX.

Oliwa. Elżbieta.

ELŻBIETA. Co, co! Chce nas porzucić, niewdzięczny! I poświęcać się tu dla dzieci!

OLIWA. On tego nie uczyni; lecz kto mnie teraz usypiać będzie? (*Z prawej wchodzi Dalia w podróżnym ubraniu, za nią służący z pakunkami*).

SCENA X.

Oliwa. Elżbieta. Dalia. Służący.

(*Dalia podaje torbę podróżną i szkatułkę służącemu, który upuszcza kilka paczek; podnosząc je, upuszcza inne nie mogąc utrzymać wszystkich*).

DALIA. Ach, niezgrabny! trzymaj-że jak należy; czy masz ręce z wosku; bierz (*podaje mu koszyczek ze stołu*) i to jeszcze do karety. (*Służący odchodzi głębią, gubiąc i zbierając paczki po drodze*).

ELŻBIETA. Co znaczy, Dalio, ten ubiór podróżny?

DALIA. Przyszedłam pożegnać państwa.

ELŻBIETA. Pożegnać?

DALIA. Od syna wiecie już zapewne o zerwaniu układów; doznawszy takiego poniżenia, nie podobna mi dłużej gościć pod waszym dachem.

OLIWA. Ależ Dalciu, to wszystko da się naprawić jeszcze, troszkę tylko cierpliwości.

DALIA. Naprawić? och nie! Życzenia wasze zniweczone bezpowrotnie. On mną wzgardził, odrzucił! Słyszycie!

ELŻBIETA. Chwilowo obłąkany, oprzytomnieje wkrótce.

DALIA. Nie łudźcie się; to upór wielony. Przytém, może i ja przesądziłam potęgę złota; a pewna zwycięstwa, nadtom zuchwale szydziła z uczuć i ludzi!

OLIWA. I ja to uważałem nie jednokrotnie.

DALIA. Wychowana przez rodziców, zajętych wyłącznie zwiększaniem majątku i słysząc co dzień powtarzane zdanie: iż świat należy do bogaczy, cóż dziwnego, żem uległa otaczającemu wpływowi i naiwnie uwierzyłam w nieomyślność głoszonych sentencji? Władysław próbował sprostować moje wyobrażenia, ale zrażony dumą, wzbraniającą mi do pojednawczych skłonów się ustępstw, odwrócił oczy w stronę mniej godnej, lecz pokorniejszej kobiety.

ELŻBIETA. Intrygantki!

DALIA. Daremne teraz skargi!... on ubóstwił inną... a ja... pójdę za człowieka, który mnie ukocha i oceni na półtora miliona. (*Z gorzką ironią*). Na półtora miliona, nie licząc osoby; przyznajcie, żem oszacowana wysoko! I mnie to sarkac jeszcze i narzekać przystało?... Żądać może lepszej doli?... Szalone, niesłychane byłyby to wymogi!

ELŻBIETA. Tyś wzruszona, Dalio...

DALIA. Bynajmniej; jam rada rozwiązaniu. Wasz syn innemi chodził drogami, zdobył więc miłość; ja, listy zastawne! Każdy coś dostał w podziale z ręki przeznaczenia. Los jest sprawiedliwym dawcą.

OLIWA. Oddaliśmy Wandę, poczekaj czas jakiś...

DALIA. Czekać? i na co? Zebranych uczuć nie chcę; a skoro mnie raz odepchnął, za żadne skarby już nie zostalabym jego żoną!

OLIWA. Hm, hm!

DALIA. Alboż on jeden na świecie?! Wszak ja mężów mam pełną szkatułkę.

OLIWA. Ale nie takich, panno Dalio, nie takich!

DALIA. Zasłепienie ojcowskie!... Przyroda i mnie także obdarzyła hojnie, dała mi nawet coś w rodzaju serca, tylko, że datkiem tym udarowała nie w porę i lepiej już było nie obdarzać wcale, niżeli za późno. To też bezlitośne fatum, nie przebaczę ci tej szczodrości nigdy, nigdy!

ELŻBIETA. Głos twój drży...

DALIA. Istne przywidzenie, nie więcej. Nie sądzicie, że mi żal starganych związków!... och nie! nie!... i jeszcze raz... nie! Przeciwnie, odjeżdżam wesółą... Do matki Alfonsa proszę odesłać rzeczy; a... synowi powiedzcie... żem... szczęśliwa z zerwania małżeństwa, które... które... Żegnajcie! (*Odchodzi szybko głębią, by nie zdradzić się wybuchem płaczu*).

SCENA XI.

Elżbieta. Oliwa.

ELŻBIETA (*chce iść za Dalją*). Dalio!

OLIWA. Czego chcesz od niej?

ELŻBIETA. Zatrzymać.

OLIWA. W jakim celu? Władysław jęj nie zaślubi, a ona nie powiedziała tu bez ogródki, że nie on jeden na świecie, że mężów ma pełną szkatułkę? Pełną szkatułkę mężów, ale jakich? pytam, jakich?... Zdechłaków podobnych do Alfonsa. Arogantka! myśleć gotowa, że ją zatrzymujemy dla jęj procentów, niech jedzie, niech jedzie do wszystkich di...

ELŻBIETA. Jednak ona go kocha! Łzy miała w głosie!...

OLIWA. A zniewagi na ustach. W tęp sercu budzącem się z dwudziestoletniego letargu, więcej jest obrażonej pychy, zarozumienia i zawiści, niż tkliwego uczucia.

ELŻBIETA. Zkąd-że ta niechęć dla niej?

OLIWA. Oceniona na półtora miliona, oszacowana wysoko... to wszystko byle nas dotknąć, zranić... ponieważ i my taksowalismy ją na tyleż; nie więcej!

ELŻBIETA. Bądź co bądź, nie takiego spodziewałam się zakończenia

OLIWA. Z jęj to winy Władzio zakochał się

w guwernante. Czemu nie usiłowała być łagodniejszą... ta szkatulka wypchana bankocetami i złościami, a na zawsze już dla nas zamknięta?! (*Wzdycha*).
ELŻBIETA. Niestety!

OLIWA. *Nie on jeden na świecie!...* Jadowita jaszczurka! I ty nie jedyna; pełno jest jaszczurek; te... (*poprawia się*) szkatulek, nie; (*poprawia się*) panien posażnych do wzięcia! (*Z prawej wchodzi Urszula z listem w rękę; spostrzegłszy Oliwów, chowa list*).

SCENA XII.

Oliwa. Urszula. Elżbieta.

ELŻBIETA (*ujrzawszy poruszenie Urszuli*). Co niesiesz?

URSULA (*zmięszana*). Ja?... nie, proszę pani.

ELŻBIETA. Jakieś pismo ukryłaś przede mną.

URSULA. To... to... rejestr bielizny z prania.

ELŻBIETA. Kłamiesz.

URSULA. Prawdziwie...

ELŻBIETA. Pokaż.

URSULA (*blagająco*). Proszę pani...

ELŻBIETA. Daj!

URSULA (*podając z trwogą*). Kazano wręczyć potajemnie.

ELŻBIETA (*otwiera kartkę*). Wanda do Władysława.

OLIWA. Co?!

ELŻBIETA (*czyta*). „Podczas obiadu przy chińskiej altanie.“ (*Mówi*). Dobrze. (*Zwracając list*). Oddaj komu należy, nie wspominając o tém co zaszło, ani słowa, rozumiesz? dla własnego bezpieczeństwa.

URSULA. Panienska tam zanosi się z płaczu.

ELŻBIETA. Ani wzmianki, pamiętaj!

URSULA. Ust nie otworzę, klnę się na duszę.

ELŻBIETA. Idź. (*Urszula odchodzi głębiej z listem*). Naznacza mu schadzkę, słyszałeś?

OLIWA. *Ojcowskie zasłepienie!...* Jaszczurka!

ELŻBIETA. Niegodna! w obawie by zostawiony samemu sobie, nie ostygł nagle w zapalach, umyśliła zabrać go z sobą i w tym celu naznacza rendez-vous, to jasne.

OLIWA. Przezroczyście! (*słychać dzwonek*) lecz pójdźmy, wzywają na obiad.

ELŻBIETA. Ach, tém lepiej!

OLIWA. Zapewne, bom też diable głodny; pójdźmy. (*Kieruje się ku prawej*).

ELŻBIETA. Czekaj; toż kochankowie usłyszawszy dzwonek, są pewni, żeśmy przy stole i wnet tu nadejdą.

OLIWA. Aha!... lecz cóż ztąd?

ELŻBIETA. Niewidziani, z téj altany moglibyśmy usłyszeć ich rozmowę.

OLIWA. Prawda; ale po co?

ELŻBIETA. Aby przekonać Władzia, że dał się omamić czarodziejce.

OLIWA. Dotąd nie rozumiem twojego planu.

ELŻBIETA. Przy nim zedrę jęj maskę i dowiodę, że uczciwa kobieta nie buntuje dziecka przeciw rodzicom, nie wydziera kochanka narzeczonéj.

OLIWA. Jaszczurce!

ELŻBIETA. Nie okrada człowieka z majątku, ani kala szlachcica niestartą plamą megaliansu. Nakoniec sama nie usiłuje wcisnąć się do rodziny, od której oddziela ją niezmierna otchłań, wiekami stwierdzonych zasad.

OLIWA. Ani wiem teraz, która z nich gorsza?

ELŻBIETA. Dalia wady temperamentu opłacała przynajmniej.

OLIWA (*przerywa*). Raczej oślacała z wierzechu. Figulka to była *Cauvin'a*, którą obróciwszy w ustach parę razy, wnet poczuwałeś pociąg na języku.

ELŻBIETA. Pst; ktoś nadchodzi, ukryj się. (*Wchodzi do altany*).

OLIWA. Nie podoba mi się ten sposób zdobywania wiedzy. (*Idzie za żonę, Władysław wchodzi*).

SCENA XIII.

Władysław (*w ogrodzie*), Oliwowie (*ukryci w altanie*).

WŁAD. Czego ona chce ode mnie? W śmiertelnej trwodze przybywam na umówione miejsce! Gdy matka znieważała ją tak okrutnie, czytałem rozpacz na jęj twarzy, żadna skarga wszakże z ust bólem zacisniętych nie uleciała w przestwory.

Straszno pomyśleć, ile leż osiadło na dnie duszy?! Co ona mi powie? co powie? truchleję. (*Spogląda na ścieżkę*). Nadchodzi, jak zmieniona!... (*Wanda ukazuje się*).

SCENA XIV.

Władysław, Wanda, (*w ukryciu Oliwowie*).

WŁAD. Pani...

WANDA. Władysławie, przybywam z uwiadomieniem, że nie mogę przyjąć twojego poświęcenia.

WŁAD. Co?!

WANDA. Nie jedź za mną, pozwól oddalić się samém.

WŁAD. Wando!

WANDA. Po głębszej rozwadze zrozumiałam i ja, że połączenie nasze niemożliwe; za wielką dzieli nas przepaść...

WŁAD. I rzesądów. One nie wchodzą w rachubę, myśmy nad niemi.

WANDA. Upojona niebiańskich rozkoszy nektarem, zapomniałam chwilowo o rzeczywistości; twoja matka sprowadziła mnie na ziemię.

WŁAD. Przebaczyć jej, Wando.

WANDA. Przebaczyć, co? kilka ostrych wyrazów, bo w zasadzie przy niej słuszność. Jam nie dla ciebie żona.

WŁAD. Co? co? Więc mnie już nie kochasz?

WANDA. Właśnie, że nazbyt kocham, nie przyporzę ci goryczy. Za tyle ustępstw i przykrości, ja, prócz przywiązania bez granic, nie w zamian ofiarować nie mogę.

WŁAD. Jakiż mrok zapadł w twoją duszę, kiedy nie spostrzegasz, że to przywiązanie droższe mi nad trony?

WANDA. Wspomnij na starych rodziców, ciebie jednego mających na świecie! Nie długo im już cieszyć się tobą; chcesz-że zatruć ostatnie ich lata, skazując na tęsknotę i samotność!

WŁAD. Niestety, jam gotów był wolność dla nich zaprzedać!... Dziś wszakże, skoro szczęście moje w żadnej u nich cenie, godziż się rzucić je dobrowolnie na pastwę ich samolubstwa?

WANDA. Władysławie!

WŁAD. Opi widzieli miłość moją, nie mogli nie dostrzedz i twoich zalet — Dalia i ty, jakaż różnica!... Rodzice sumiennie i rozsądnie pojmujący życie, czy powinni dla zapewnienia sobie zbytku i względów u świata, zmuszać dziecko do zawarcia związków przeciwnych wszelkim jego przeświadczeniom, instynktom, poczuciom?!

WANDA. Zważ na wkorzenione wyobrażenia w pośród których wzrosli i postarzel, na istotę ich oporu, którą jest troska o twoje dobro.

WŁAD. Konieczność opuszczenia ich, rozpaczą przeszywa piersi, ale inaczej ty moją nie możesz zostawić!

WANDA. Przyszłam z pożegnaniem.

WŁAD. Nie sądź, byś odtrącając moją rękę, syna powróciła rodzicom. Okrutném obejściem się z tobą i obojętnością na moją dolę, by własną ukwiecić, sami stargali wszystkie krwi węzły!

WANDA. Nie mów tak...

WŁAD. Nie tylko synem, — człowiekiem jestem. Nie żądam od nich nic, do obcych na chleb pracować pójdę i życie podług własnych uścieleć przekonać.

WANDA. Oni są dobrzy, pragną twojej pomyślności, niesłusznie zarzucają im egoizm, co dla nich pożądaném, życzą tobie; taka już ludzka natura, wszystko własną miarą mierzyć.

WŁAD. Boleję też nad rozłąką, lecz pomimo całego ku nim przywiązania, ich niebo piekłem dla mnie.

WANDA. Czas zjednoczy wasze poglądy.

WŁAD. Miejmy nadzieję, wszak bywają przykłady, że dopiero wnuki potrafią prześlagać gniew rodziny zacięty. Jedźmy zatem, połączyć się u ołtarza.

WANDA. Co mówisz? ja twoich mniemań wrócić zmianę.

WŁAD. Wando, nie czyn mnie bardziej jeszcze nieszczęśliwym. Pokochawszy cię od pierwszej chwili, walczyłem z sobą nadludzką siłą, by zadowolić rodziców marzenia. Miłość zwyciężyła, oni

mój wybór potępili niesłusznie; odtrącając ciebie, życie mi całe złać chcieli! (*Po pauzie*). Jednak... czuję to, jedno ich słowo tobie przychylnie, a wszystko, wszystko pusiłbym w niepamięć i stopy ich ucałowałbym w dowód niewygasłej wdzięczności!

WANDA. Jam powodem waszego rozdwojenia, mnie to usunąć się w cienie... Zapomnij... pokochaj inną z ich przyzwoleniem... i żyj szczęśliwy.

WŁAD. Inną?! ja?!... Wando, dla nich robisz z siebie ofiarę, daremnie. Wszak oni mi serce rozdarli na pół i nieobecni dzielą nas jeszcze!

WANDA (*blagająco*). Pozostań z nimi. Patrz, ja słaba kobieta zdobywam się na tyle odwagi, moc... Ty mężczyzna, piękny, rozumny, dostojny, przed którym szeroki świat otwarty, jakże łatwo pocieszyć się zdołasz?! Pierwsze jedynie tygodnie będą ciężkie, następne już łatwiejsze; rodzice ulgę dla ciebie wymodlą; niech ja, mimowolna przyczyna smutku wrócę wam odebraną radość i spokój. Władysławie, błagam ze łzami, nie opuszczaj, nie opuszczaj starych rodziców! Oni nie przeżyją twojej utraty!

WŁAD. O moi rodzice, na jakież wyście mnie skazali męczarnie!... Wando, nie zabijaj mnie okrutna!

WANDA. Zaklinam cię na twoją miłość, nie oddalaj się ztąd!

WŁAD. Jakież cierpię katusze!

WANDA. Władysławie!...

WŁAD. Nie, nie, po tysiącokroć: nie! Nie pozostanę z nimi!

WANDA. Nie?... A więc ja również głuchą będę na twoje prośby. Od téj chwili zamykam dla ciebie dom mój i serce, wypieram się objawionych uczuć i na zawsze rozstaję się z tobą! (*Kieruje się ku głębi*).

WŁAD. Wando!

WANDA. Przysięgam, że bez zezwolenia rodziców, nigdy nie zostanę twoją! (*Odchodzi w głąb, Władysław biegnie za nią i zatrzymać usiłuje; Oliwowie wychodzą z altany*).

OLIWA (*ocierając łzę, do żony*). Jak myślisz? dla jego szczęścia?

ELŻBIETA. Ha!

OLIWA (*głośno*). Wstrzymajcie się dzieciaki! (*Do żony*). Toż i przysłowie uczy, że lepsza Wanda w siermiędze, niż... (*Ociera drugą łzę*).

ELŻBIETA (*podchodząc do Wandy*). Szlachetne dziewczę, nie poznaliśmy się na tobie; przebac!

WANDA. O pani!

OLIWA. Surowy z ciebie sędzia, Władziu. Ona broniła naszej sprawy, zatem ją sobie zatrzymamy na stałego obrońcę.

WŁAD. (*w uniesieniu radości*). Ojczy!

ELŻBIETA. Odtrącona, chciałaś poświęcić się dla naszego szczęścia, słuszném przeto, byśmy się niém podzieliли z tobą.

WANDA (*thumiąc ręką uderzenia serca*). Ciszej serce!

WŁAD. Matko, ojczy! Jakiem-że wy niebem mnie darzycie!

OLIWA. Dobrze to jednak podsłuchiwać czasami, miałaś słuszność Biniu!

KONIEC.

Pomnik Andrzeja Boboli.

Już kilkanaście kolegiów jezuickich wznosiło się po różnych stronach kraju, gdy w Warszawie zakon ten nie miał jeszcze stałego zamieszkania. Pierwszy dopiero złotousty Skarga, miewając przez długi czas kazania w ówczesnej kolegiacie, a dzisiejszej archikatedrze Św. Jana, kupił w tym celu z jałmużn dom murowany na Starém Mieście w roku 1597 i sprowadziwszy do niego współbraci, zaczął się starać o wzniesienie kościoła. Starania te jednak dopiero w r. 1609 pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem. W owym bowiem czasie król Zygmunt III podarował O. Jezuitom na ten cel plac nabyty od miasta, a będący obok kolegiaty, gdzie pierwsze podstawy kościoła z wielką uroczystością położono. Za królem poszło wielu innych dobrodziejów, a na ich czele odznaczył się *Jędrzej Bobola*,